

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



Z NASZEGO REGIONU

Górnictwo w Białym Kamieniu (cz. 3)	Wojciech Tumidajewicz	3
Biskupie kamienie graniczne	Witold Komorowski	5
Srebrnogórska twierdza	LOT „Księstwo Świdnicko-Jaworskie” ..	8
Góra źródeł z tytoniowym akcentem	Bartosz Skowroński	9
W listopadzie po Kaczawskich	Krzysztof Gdula	11
Wodospadowa perła Rychlebskich Gór	Stanisław Dziuba	14

OJCZYZNE SZLAKI

W 100 rocznicę Wielkiej Wojny (6)	Andrzej Rumiński	15
iskra.	Joanna Pociask-Karteczka	16

TRASA MIESIĄCA

Beskidzki klasyk z Romanką i Słowianką w głównej roli	Juliusz Wyślouch	17
Spacer po Strzegomiu	LOT „Księstwo Świdnicko-Jaworskie” ..	19

GLOBTROTER

Killarney: miasteczko na końcu drogi	Mirosław J. Barański	20
Przy grobie Awicenny	Krzysztof R. Mazurski	22
Madera	Elżbieta Lisiecka	24

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Tatrzańskie Dwutysięczniki	Marek Szala	26
I Sympozjum Regionalnej Pracowni Krajoznawczej w Bukowcu	Krzysztof Tęcza	28
Emil Krebs – śląski geniusz	Krzysztof Tęcza	30
Wyniki konkursu fotograficznego		31

PORADNIK TURYSTY

Zanim wyruszysz itd... ..	Juliusz Wyślouch	32
---------------------------	------------------------	----

NA KOLEKCJONERSKIM SZLAKU

Kolekcjonerstwo krajoznawcze w PTTK	Wojciech Kowalski	35
---	-------------------------	----

SYLWETKI „NA SZLAKU”

Jerzy Organiściak – przewodnik, krajoznawca oraz samorządowiec z miasta Krzywej Wieży i Frankensteina	Wojciech Radliński	37
Wędrują „Na Szlaku” wieczystym	Andrzej Rumiński	39

RECENZJE, NOWOŚCI

Objawienie Kocora	Krzysztof R. Mazurski	40
Przewodnik przewodników	Tomasz Kowalik	41
Monografia Dworu Czarne	Krzysztof R. Mazurski	42
Sanktuarium Maryjne w Krasnobrodzie	Andrzej Rumiński	44

**Na okładce: Biskupi kamień graniczny IV, między Wigancicami i Szklarami
na Dolnym Śląsku (czytaj na s. 5). Fot. Witold Komorowski**

Górnictwo w Białym Kamieniu (cz. 3)

Rok 1851 przyniósł zasadnicze zmiany w zarządzaniu kopalniami na terenie Śląska poprzez wycofanie się państwa pruskiego z tzw. zasady dyrekcyjnej, w wyniku czego właściciele kopalń zostali uwolnieni z przymusu tworzenia gwarectw. Ponownie przejęli nadzór nad administrowaniem własnymi kopalniami także pod względem technicznym i organizacyjnym. Ukoronowaniem zmian było wydanie w 1865 r. *Powszechnej Ustawy Górniczej*, która unieważniła dotychczas obowiązujące ordynacje, partykularne zarządzenia i dekryty. Ustanowione zostały szczeble władzy górniczej oraz zasada inspekcyjna. W związku z tym, że pokłady węgla nad poziomem sztolniowym zostały wyeksploatowane na początku lat 60., gwarectwo „Fuchs” podjęło decyzję o wybudowaniu kopalni głębinowej na południowym zboczu Lisiego Wzgórza (480 m) niedaleko torów kolejowych. Autorem i wykonawcą projektu był górmistrz Brade, który od 1848 do śmierci w 1878 r. kierował kopalnią Fuchs.

W latach 60. XIX w. w Dolnośląskim Zagłębiu Węgla Kamiennego rozpowszechnił się sposób westfalski udostępniania pokładów. Polegał on na wykonaniu dwóch szybów pionowych w odległości około 30 m od siebie. Drażnienie szybu głębinowego *Julius* rozpoczęto w 1865 r. Miał przekrój poprzeczny, beczkowy o wymiarach 7,1x6,6 m i był zabezpieczony obudową murowaną. Nad nim postawiono basztową, murowaną wieżę typu *Malakow* (nazwa pochodzi od fortu „Malakow” w Sewastopolu z czasów wojny krymskiej). Jej wystrój architektoniczny wykonano w stylu klasycyzmu-renańsowskim. W 1867 r. szyb osiągnął głębokość 100 m. Cztery lata po rozpoczęciu prac rozpoczęto drażnienie drugiego szybu wydobywczego o około 55 m na południo-zachód. Nadano mu nazwę „Ida”. Szyb ten był o przekroju poprzecznym w kształcie koła o średnicy 5,8 m, ściany jego zabezpieczono obudową murowaną. Wieża wyciągowa, która stała nad szybem, była typu *Malakow* o wystroju jak *Julius*. Dla zaspokojenia zapotrzebowania w parę technologiczną wybudowano trzy kotłownie zasilające w parę maszyny wyciągowe oraz parowe pompy tłokowe głównego odwadniania kopalni. W tym czasie powstały budynki warsztatów i kuźni kopalnianej. Rok 1876 przyniósł zmiany w zarządzaniu kopalnią i gwarectwem, polegające na utworzeniu rady sześciu gwarków. Dyrektorem zakładu górniczego został Erich Hellwig. Trzy lata później na nadszybiu *Juliusa* wybuchł pożar, który przeniósł się do szybu i dotarł aż do podszybia poziomu wydobywczego I. Wydarzenie to zmusiło zarząd kopalni do zatamowania szybu. Pożar udało się ugasić w 1880 r. Pożar spowodował przekonstruowanie szybu oraz podjęto decyzję pogłębienia szybu do 210 m. W 1881 r. w zakładzie górniczym „Fuchs” było 1700 pracowników, którzy wydobywali około 0,5 mln t węgla rocznie. W 1883 r. nastąpiła kolejna zmiana organizacyjna. Gwarectwo zrezygnowało z łączenia kuksów z gospodarstwami kmiecymi. Zwiększono ilość kuksów do 2040, można było nimi dowolnie rozporządzać. W 1887 r. rozpoczęto drożenie trzeciego szybu, któremu nadano nazwę *Dampf*. Służył on do transportu materiałów pod ziemię. Umieszczono w nim również rurociągi transportujące do podziemnych silników parę wodną. Także ten szyb otrzymał basztową wieżę murowaną.



Szyb „Chwalibóg” 1960-1967

W związku z pogłębieniem *Juliusa* w latach 1890-1893 modernizacji uległa wieża wyciągowa. W istniejącą wkomponowano nową, konstrukcji kratowej nitowaną.

Początkowo urobek kierowano do sortowni, gdzie przesiewano go na rusztach zamontowanych na platformach załadowniczych, pod które przetaczano wagony kolejowe. W 1888 r. sytuacja diametralnie się zmieniła w związku z wybudowaniem sortowni z mechanicznymi przesiewaczami rusztowymi i bębnowymi oraz magazynem węgla handlowego. W kolejnym roku powstała płuczka z osadzarkami gruboziarnistymi oraz zbiorniki nadpoziomowe, w których magazynowany był wzbogacony i posortowany węgiel. W celu usprawnienia przetaczania wagonów na sześciu torach bocznic kolejowej doprowadzonej do budynku sortowni. Od 1897 r. używano dwóch kołowrotów parowych z liną otwartą o średnicy 10 mm. W 1902 r. wykonano kolejną przebudowę przeróbki mechanicznej węgla. Do oświetlenia pomieszczeń od końca lat 80. zaczęto stosować łukowe lampy elektryczne. Jednak właściwa elektryfikacja kopalni rozpoczęła się w pierwszej dekadzie XX w. W latach 1909-1910 powstał budynek wysokowydajnej elektrowni kopalnianej, w którym umieszczono trzy generatory turbinowe z 1911 r. oraz jeden z napędem tłokowym, pochodzący prawdopodobnie z końca XIX w. Dodatkowo zamontowano dwa elektryczne kompresory tłokowe oraz jeden turbokompresor, które wytwarzały sprężone powietrze o ciśnieniu 7 at (0,7 MPa) o łącznej wydajności 15000 m³/h. W 1912 r. uruchomiono jeszcze dwie rozdzielnie (prądu przemiennego 300 V i stałego 220/110 V). W latach 1911-1912 wybudowano czwartą kotłownię, opalaną miałem węglowym oraz gazem koksowniczym z wybudowanej w 1907 r. koksowni, która posiadała 60 pieców koksowniczych systemu *Koppers* z produkcją węglopochodnych.

W 1896 r. gwarectwo *Fuchs* rozpoczęło dalszą rozbudowę kopalni, polegającą na rozpoczęciu drożenia w odległości około 2 km na północ od zespołu szybów *Julius-Ida* szybu *Bismarck*. W 1898 r. osiągnął on głębokość 210 m jako wydobywczo-zjazdowy o średnicy 6 m i przekroju kołowym z dwoma przedziałami wydobywczymi. Nad zrębem szybu postawiono stalową zastrzałową wieżę wyciągową. Zespół górniczy *Bismarck* został wyposażony także w zakład przeróbki mechanicznej. Po uruchomieniu w 1899 r. zespół ten przejął wydobywanie z rejonu szybu *Hans-Heinrich*, co pozwoliło na przebudowę tego ostatniego. Szyb *Hans-Heinrich* w latach 60. pogłębiono do głębokości 113 m z jednoczesnym zabudowaniem powierzchni. Pogłębienie do głębokości 177 m nastąpiło w 1907 r. Wzniesiono również łaźnię i lampownię. Przy bramie wejściowej znajdowała się markownia. W tym samym roku gwarectwo „Fuchs” zakupiło kopalnię „David”. Również szyb „Ida” podlegał modernizacji. W 1903 r. w istniejącą wieżę wyciągową wkomponowano wieżę wyciągową typu kozłowego, dwuzastrzałową o konstrukcji kratowej. Zaprojektowano i wykonano ją w Hucie *Wilhelm* w Wałbrzychu. W latach 1912-1914 pogłębiono szyb do głębokości 210 m.

Jako że na terenie dolnośląskiego zagłębia płace były najniższe w porównaniu z Górnym Śląskiem i Zagłębiem Ruhry, co roku wyjeżdżało stąd w przybliżeniu 1000 osób. W ciągu dziewięciu miesięcy 1912 r. ubyło 1200 mężczyzn. W okresie trwania I wojny światowej dokończono rozpoczęte

inwestycje oraz poprawiono warunki BHP.

Po I wojnie światowej, w związku ze zmianą granic, sytuacja w tutejszych kopalniach nie sprzyjała rozwojowi, przede wszystkim utracono dawne rynki zbytu. W 1920 r. rozwiązano „starą” gwarecką organizację zarządzania kopalnią. W jej miejsce powstała spółka akcyjna. W okresie międzywojennym pogłębiony został szyb „Ida”. W 1928 r. nastąpiło połączenie kopalni „Fuchs” z częścią obszaru kopalni „Segen Gottes”, w tym samym roku uległ likwidacji ruch w zespole górniczym „Bismarck”. W wyniku



„Julia” z lotu ptaka

kryzysu gospodarczego i braku zapotrzebowania na węgiel rok później doszło do zamknięcia kopalni „Segen Gottes” oraz przynależną do niej koksownię. Zatrzymano także kopalnię „Dawid”. W latach 1928-1931 pogłębiono szyb „Julius” do poziomu wydobywczego +50 m. W 1935 r. przebudowano i wzmocniono wieżę wyciągową. Po raz kolejny szyb „Julius” został pogłębiony w latach 1942-1946 do głębokości 612 m. W trakcie drążenia zmieniono jego przekrój poprzeczny na kołowy o średnicy 6,8 m. Sąsiedni szyb *Ida* osiągnął głębokość 443 m przy zmniejszeniu średnicy do 4,5 m. W tym czasie pogłębiony do 620 m szyb „Jan” służył jako szyb zjazdowy dla ludzi tego pola. Rozpoczęto modernizację urządzenia wyciągowego, jednak nie została dokończona przed 1945 r. W czasie trwania II wojny światowej w kopalni byli zatrudnieni jeńcy wojenni oraz robotnicy przymusowi z krajów podbitych.

Cdn.

Wojciech Tumidajewicz

Foto: <http://dolny-slask.org.pl>

Biskupie kamienie graniczne

Na Dolnym Śląsku znajduje się niezwykle, świetnie zachowany, niemający odpowiednika nigdzie indziej, a przy tym mało znany, zespół zabytków średniowiecznych. Ten unikatowy zespół tworzą kamienie graniczne dawnego księstwa biskupiego stojące na swoim miejscu już ponad 700 lat. Przyjmuje się, że ustawiono je w latach 1290-1320, w decydującym okresie sporu między biskupami wrocławskimi a panującymi książętami tej dzielnicy. Pierwsza data to czas, kiedy bp Tomasz II Zaremba uzyskał od księcia Henryka IV Probusa, po latach dramatycznych zatargów, przywilej niezależności w dawnej kasztelanii nysko-otmuchowskiej. *Nota bene*, wyrazem tej ugody było rozpoczęcie budowy kolegiaty św. Krzyża we Wrocławiu, do dziś prawdziwej perły gotyku w centrum Ostrowa Tumskiego. Trzydzieści lat później tę niezależność ugruntował bp Henryk z Wierzbna, który przyjął – jako pierwszy z biskupów wrocławskich – tytuł książe. Henryka z Wierzbna uważa się za właściwego twórcę księstwa biskupiego ze stolicą w Nysie, które przetrwało w istocie aż do czasu sekularyzacji dóbr kościelnych przez rząd pruski w 1810 r. Biorąc pod uwagę okoliczności tworzenia się „państwa biskupiego”, zasadna wydaje się ówczesna decyzja wytyczenia i oznakowania granicy na spornym terenie. O wielkiej trwałości tej delimitacji świadczy fakt, że pięć spośród sześciu zachowanych kamieni granicznych stoi dokładnie na dzisiejszej granicy województw dolnośląskiego (pow. ząbkowski, gm. Ziębice) i opolskiego (pow. nyski, gm. Kamiennik i gm. Grodków); szósty kamień jest w woj. opolskim, w gminie Skoroszyce.

Wszystkie kamienie graniczne mają postać granitowych czterościanowych ostrosłupów o wysokości części nadziemnej około 2 m. Z jednej strony słupa znajduje się wykuty pastorał (symbol biskupa), na ścianie



Kamień graniczny I, przy szosie Lipniki – Starczówek



Kamień graniczny II, między Lipnikami i Osiną – jeszcze bez ogrodzenia, latem 2007 r.

przeciwnej – ukośny krzyż (znak granicy, być może też symbol księcia), natomiast na ścianie pomiędzy nimi jest trzywierszowy napis: TMI SCI IOHIS, co się rozwija TERMINI SANCTI IOHANIS i tłumaczy jako „granice świętego Jana” (św. Jan Chrzciciel jest patronem wrocławskiej katedry, a więc i arcybiskupstwa).

Pierwszy, wysunięty najbardziej na południe kamień jest posadowiony tuż przy szosie Ziębice – Nysa, pomiędzy Starczówkiem i Lipnikami, na granicy województw (50° 32' 39" N; 17° 04' 06" E). Stał on pochylony i częściowo zagłębiony w ziemi; w 2008 r. został podniesiony, oczyszczony oraz wyeksponowany przez dodanie ozdobnego metalowego ogrodzenia i tabliczki informacyjnej. Podobny „lifting” przeszły w tym czasie pozostałe trzy słupy (II, III i IV), będące na terenie gminy Kamiennik. Kamień II znajduje się na północ od pierwszego, przy żółtym szlaku Starczówek – Osina (na tym odcinku pokrywa się z niebieskim szlakiem rowerowym). Szlak opuszcza szosę około 500 m przed kamieniem I i biegnie (prawdopodobnie, bo w terenie trudno odnaleźć znaki; przydaje się dobra mapa i... intuicja) początkowo lasem, a później przez pola na szczyt kulminacji, na której łatwo zauważyć przy kępie zarośli (latem widać tylko zarośla!) ogrodzony kamienny słup (50° 33' 20,3"

N; 17° 04' 31,7" E). Trzeci kamień jest łatwy do odszukania, gdyż stoi przy polnej, fragmentami brukowanej drodze z Chocieborza do Osiny Wielkiej, w najwyższym punkcie tej drogi (50° 34' 33" N; 17° 05' 57" E), około 2 km od wsi. Kilka lat temu ten kamień znaleziono wykopany i prawdopodobnie przygotowany do wywiezienia; ostatnio (2014 r.) złomiarze (?) zabrali kute ogrodzenie zastąpione teraz prostym łańcuchem. Oprócz rozległego widoku, dodatkową atrakcją tego miejsca jest kamienny krzyż pokutny, stojący około 100 m poniżej kamienia III, po przeciwnej stronie drogi, na niewysokiej skarpie.

Więcej trudności nastręcza odszukanie kamienia IV (fot. na okładce), ponieważ sterczy on samotnie wśród pól, z dala od jakichkolwiek dróg. Dojść do niego można z Wilemowic, Wigancic lub ze Szklar. Dojście z Wilemowic zajmuje 40 min. i prowadzi szeroką drogą leśną wschodnim skrajem tzw. Biskupiego Lasu aż do wyjścia na skraj pól. Dalej idąc na przelaj ciągle na północ, w kierunku kępy drzew widocznej w pobliżu słupa linii wysokiego napięcia, dochodzi się po około 600 m do poprzecznej skarpy, na pochyłości której, 100 m na zachód, stoi ogrodzony kamień graniczny (50° 36' 37,2" N; 17° 08' 41,5" E). Właśnie ta ciągnąca się równoleżnikowo skarpa pokrywa się z dawną granicą św. Jana. Startując z Wigancic lub Szklar najlepiej wybrać polną drogę



Kamień graniczny III, przy drodze Chociebórz – Osina

łączącą te miejscowości i mniej więcej w połowie dystansu skrócić na południe. Trzeba przejść na przełaj jeszcze około 500 m (łatwiej zimą lub po żniwach!) w kierunku widocznej kępy drzew i ciągnącej się za nią w poprzek pól skarpy z kamieniem granicznym. Idąc ze Szklar można wcześniej skrócić na południe i skrajem lasu dojść do skarpy na jej wschodnim końcu. Specyficzną aurę tego miejsca, odczuwaną jeszcze kilka lat temu, gdy potężny kamienny słup z tajemniczą inskrypcją wyrastał samotnie w sielskim krajobrazie pofałdowanych pól, psują zbyt nachalne znaki cywilizacji: przesadnie wysoki wspornik z tabliczką informacyjną stojący tuż przy kamieniu i nieco „cementarne” ogrodzenie. Podobne uwagi nasuwają instalacje przy kamieniach I – III.

Najbardziej zakamuflowany przez rosnące wokół niego krzewy jest kamień V, do którego stosunkowo łatwo trafić z Samborowic. Kamień stoi na ostrym załamaniu współczesnej granicy województw (dawniej granicy księstwa ziebickiego) i obecnie jest zupełnie ukryty wśród drzew, na skraju zagajnika. Za ostatnimi zabudowaniami Samborowic trzeba pójść polną drogą, prowadzącą na południe; po około 1000 m droga skręca na południ-zachód pod skraj rzędnącego lasu. Ostatnie 300 m przed wejściem w las dochodzi się miedzą, która zmienia się w porośniętą krzewami niską skarpe, doprowadzającą do kamienia granicznego (50° 36' 47,7" N; 17° 14' 09" E). Dojście z Samborowic zajmuje 20 min. Kamień V jest najwyższy ze wszystkich (około 2,5 m), a dzięki nieco zwężającej się dolnej części słupa ma też najbardziej oryginalny z całej szóstki kształt. Ostatni, wysunięty na wschód, kamień VI stoi lekko pochylony w polu przy gruntowej drodze z Chróściny Nyskiej do Łanów (Czarnolasu), około 1 km na południe od skraju wielkich szklarni w Chróscinie (50° 36' 32,3" N; 17° 21' 15,4" E). Kamień VI jest oddalony od kamienia V o ponad 8 km w linii prostej, podczas gdy w pozostałych przypadkach odległości między sąsiednimi kamieniami wynoszą odpowiednio tylko około 1,5 km, 3 km, 5 km i 6 km.

Chociaż wszystkie kamienie biskupie wykonano według tego samego schematu, to jednak można wyróżnić wśród nich dwa typy: starsze (II, IV i VI) – bardziej zwaliste, mające kształt tępo zaostrzonego prostopadłościanu, i młodsze (I, III i V) – smuklejsze, zbliżone kształtem do ostrosłupów. Podstawą ich datowania nie jest jednak kształt, a liternictwo wykutych napisów;



Kamień graniczny V, na południe od Samborowic



Kamień graniczny VI, na południe od Chróściny Nyskiej – latem 2010 r.

w tych starszych (z końca XIII w.) litery „T” i „M” mają zaokrągloną postać, już nieużywaną na początku XIV w. Występowanie na przemian starych i nowych kamieni sugeruje, że w drugiej fazie oznaczania granicy chodziło o jej swoiste „uszczelnienie” w terenie i dlatego np. kamienie I i III ustawiono przy drogach łączących księstwo ziebickie z księstwem biskupim, gdy tymczasem starszy, stojący między nimi kamień II został usytuowany z dala od dróg, na wzniesieniu nad źródłiskowymi dolinkami Oławy.

Mimo swojej atrakcyjności, zainteresowanie granicą św. Jana wzrosło dopiero po 2000 r., kiedy zabytki te zaczęto zaznaczać na mapach turystycznych; poprzednio znany był tylko rzucający się w oczy kamień I przy szosie ze Starczówka, opisywany jako „słup graniczny, pokryty inskrypcjami z XVI w.” (wg mapy „Wzgórza Niemczańsko-Strzelińskie”, PPWK 1978). Jeśli chodzi o dokładniejsze opracowania, to nieliczni „wtajemniczeni” powołują się tu na pionierski, ale szerzej niedostępny, artykuł Andrzeja Czermaka w 2. zeszycie „Karkonosza”, biuletynu Studenckiego Koła Przewodników Sudeckich z 1986 r. W internecie związły opis można teraz znaleźć na stronie

www.ziebice.pl/asp/pl_start.asp?typ=14&sub=135&menu=8&strona=1.

Autor zamieszczonej tam informacji, Henryk Sławiec z Ziębic, jest też twórcą drewnianych miniatur wszystkich sześciu kamieni granicznych wykonanych w skali 1:6 (nie mylić z papierowymi modelami naturalnej wielkości, które są w muzeum mieszczącym się w ziebickim ratuszu). Wszystkim miłośnikom odkrywania niebanalnych miejsc można polecić wycieczki do granicy św. Jana w porze zimowej, gdyż wówczas kamienie są z daleka lepiej widoczne i łatwiej jest do nich dotrzeć po zmarzniętej grudzie na przełajowych odcinkach trasy. Część zamieszczonych tutaj zdjęć wykonano właśnie zimą 2014 r.; fotografie z innych pór roku i innych lat są dostępne na portalu Wratislaviae Amici http://dolny-slask.org.pl/523770,Lipniki,Kamienie_graniczne_Sw_Jana.html.

Witold Komorowski

Srebrnogórska twierdza



Miłośników militariów oraz dawnej techniki wojskowej zapraszamy na wycieczkę do położonej na Przełęczy Srebrnej pruskiej twierdzy w Srebrnej Górze. Twierdza jest dziełem króla pruskiego Fryderyka II. Powstała w latach 1765-1777 w celu obrony strategicznego przejścia przez brzeżne grzbiety Sudetów i była wówczas najnowocześniejszą fortyfikacją świata. Twierdza jako jedyna na Śląsku nie poddała się wojskom napoleońskim, stąd też przyłgnęło do niej miano niezdołanego „Śląskiego Gibraltaru”. W 1860 r. pełniła już funkcje turystyczne, a w czasie II wojny światowej mieścił się w niej oflag o zaostrozonym rygorze, w którym więziono polskich oficerów z kampanii wrześniowej. W 2002 r. został powołany pierwszy w kraju Forteczny Park Kulturowy w Srebrnej Górze, organizacja, która stała się kluczowym podmiotem w działaniach na rzecz renowacji i zagospodarowania fortyfikacji. Duże znaczenie dla promocji twierdzy miało też powołanie w 2007 r. srebrno górskiej grupy rekonstrukcyjnej: Infanterie-Regiment von Alvensleben (nr 33), odwołującej się swoimi strojami do garnizonu, który stacjonował w twierdzy w okresie wojny francusko-pruskiej. Od tego czasu turystów odwiedzających twierdzę oprowadzają przewodnicy-żołnierze, którzy prezentują zwiedzającym broń oraz ekspozycję znalezisk militarne i górnicze z okolic Srebrnej Góry - w przyszłości zbiory muzeum fortecznego. Szczegółowe informacje znajdują się na stronie www.forty.pl.



Twierdza Srebrna Góra, ul. Letnia 10, 57-215 Srebrna Góra, tel. 74-818-00-99, **godziny otwarcia:** IV–X codziennie 10–18.

LOT „Księstwo Świdnicko-Jaworskie”

LOT „Księstwo Świdnicko-Jaworskie”
Fot. Krzysztof R. Mazurski

Góra źródeł z tytoniowym akcentem

Ze zboczy leżącego w Grzbiecie Kamienickim Gór Izerskich Dłużca (867 m) bije wiele źródeł. Oczywiście w skali tego pasma górskiego Sudetów żadna to osobliwość. Wystarczy rzut oka na mapę, by przekonać się, jak dużo cieków wypływa ze zboczy innych okolicznych wzniesień. Kilka ich źródeł nosi osobliwe nazwy. Wiele też, dziś zapomnianych, za czasów niemieckich mogło być lokalnymi atrakcjami turystycznymi. Tak było być może ze źródłami na zboczach Dłużca. Czytając przedwojenną mapę obejmującą wzniesienie *Langeberg*, jak zwano wówczas tę górę, dostrzeżemy na jej trzech różnych zboczach trzy nazwane źródła: *Urleborn*, *Martinsborn* i *Tabaksborn*. Pierwsze z nich dziś jest całkiem zapomniane. A przecież w pobliżu niego, na wschodnim zboczu wymienionej góry, przechodzi szeroki na około 4 m asfaltowy dukt leśny. Wspomniane źródło tryska na wysokości około 770 m z niewielkiego, szerokiego na 30 cm, zagłębienia. Wprost spod ziemi. Kilkanaście metrów niżej z lewej do potoczku zeń płynącego dochodzi mała dolinka. Trudno to jednak uznać za dopływ z prawdziwego zdarzenia. Woda tam niemal stoi. Tuż poniżej z prawej uchodzi jednak pierwszy wyraźniejszy dopływ. Do wspomnianego duktury mały potoczek, płynący z dawnego *Urleborn*, pokonuje 25 m. Tam w zagłębieniu przyjmuje inny ciek i przepustem pod drogą przetacza swe wody dalej, płynąc zboczem Dłużca.

Dużo trudniej odnaleźć dawne *Martinsborn*, choć to właśnie ono sporadycznie określane jest jako „Źródło Marcina”. Taką nazwą opatrzyli je autorzy mapy *Karkonosze. Góry Izerskie* wydawnictwa EKO-GRAF (podziałka 1:50.000, 1998 r.). Źródła tego szukać trzeba na północno-wschodnim zboczu Dłużca, na wysokości około 795 m. Praktycznie każda współczesna mapa podpisuje za to ostatnie z wyżej wymienionych źródeł, zwane dawniej *Tabaksborn*. Mowa oczywiście o Tytoniowym Źródle. Mimo to mało kto tam zagląda. Nic w tym dziwnego. Źródło bije na południowo-zachodnim zboczu Dłużca z wysokości 840 m. Niby niezbyt wysoko, ale okolica jest bardzo trudno dostępna. I to nie tylko z powodu braku szlaków turystycznych w bezpośrednim otoczeniu. Po prostu źródło znajduje się na bardzo podmokłym terenie. Sporo tu wysięków. Znajdują się one na małej polanie, pod lasem. Niektóre zaś tuż na jego skraju. Jeden z wypływów może pretendować do miana „głównego” źródła zasilającego Płokę – prawobrzeżny dopływ Kwisy, stąd wypływający. Tym samym można go uznać za właściwe Tytoniowe Źródło. Jest nim osobliwe źródełko. Z wyglądu duża „kałuża”. Ma około 1 m długości i 60 cm szerokości. Ze wspomnianej polany jest niewidoczne. Maskuje je bowiem rozłożysty aż do ziemi świerk. Dopiero za jego gałęziami można zobaczyć źródełko. Współcześnie korzysta zeń, być może, leśna zwierzyna. Czy korzystali zeń niegdyś ludzie? Może tak. Genezy nazwy Tytoniowe Źródło upatruje się bowiem w procederze przemysłowym, jaki miał miejsce na pograniczu prusko-austriackim w XVIII-XIX w. A skoro źródło nosiło nazwę *Tabaksborn*, można wysnuć przypuszczenie, iż poić się w nim mogli szmuglerzy tytoniu. Być może, niejeden kontrabandzista z tytoniem jako bagażem przemierzał grzbiet Dłużca, uzupełniając zapas wody poniżej jego wierzchołka właśnie w tym źródełku. Nie jest to w skali Sudetów wcale osobliwy przypadek nazwy wiążącej się z uprawianym niegdyś w tych górach przemysłem. Warto przytoczyć choćby takie nazwy, jak *Diebsteig* (dziś Złodziejska Ścieżka) czy *Sich-dich-für* („Bacz-na-się”, dziś Puchacz) w Masywie Śnieżnika. Ich geneza jest taka sama jak Tytoniowego Źródła.

Jednak i na Dłużcu Tytoniowe Źródło to nie jedyny przemysłowy, a zarazem tytoniowy akcent. Przez jego



Tytoniowa Ścieżka



faktycznie długi grzbiet wiedzie leśna dróżka zwana Tytoniową Ścieżką (dawniej *Tabaksweg*). Formalnie uznaje się, iż prowadzi ona ze skrzyżowania dróg na Starym Grzbiecie aż do źródłiskowej doliny Kamienicy. Ostatni odcinek do doliny górnej Kamienicy miały wtedy asfaltową nawierzchnię. Na wysokości około 875 m Tytoniowa Ścieżka odbija na północ jako gruntowa droga. Początkowo ten odcinek jest wyraźny, jednak nieco dalej jest dość zarośnięty. Miejscami także podmokły. Podobnie, jak okoliczna gęstwina leśna, odradzająca się po kłesce, jaka miała miejsce w Górach Izerskich już w minionym stuleciu. Mimo iż lasy te nie leżą w parku narodowym ani nie stanowią ścisłego rezerwatu przyrody, nie

Prawdopodobnie to źródło uznawano dawniej za *Tabaksborn*

wszystkie miejsca w nich są dostępne dla każdego. Informuje o tym tabliczka stojąca przy drodze, poniżej wspomnianego skrzyżowania na wysokości około 875 m, od strony dawnego *Urleborn*. Turysta wyczyta na niej taki oto tekst: „OSTOJA ZWIERZĄT OSOBOM NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY”. Pytanie tylko, czy dotyczy to lasu poza asfaltową drogą, czy też samej drogi? Nie narażając się na odpowiedzialność z tytułu nielegalnego wejścia do takiej strefy lasu, nawet sama wędrówka Tytoniową Ścieżką daje okazję do spotkania „oko w oko” z jeleniem czy sarną. W tej części Gór Izerskich zapewne zwierzętom tym żyje się spokojniej aniżeli na Wysokim Grzbiecie, gdzie panuje dużo większy ruch turystyczny. Kto powędruje Tytoniową Ścieżką przez grzbiet Dłużca w kierunku jego wierzchołka, bez trudu zrozumie, dlaczego właśnie tędy chadzali, być może, przemysłowcy tytoniu. To, jak wspomniano, prawdziwa gęstwina, a zarazem i odludzie. W rejonie wierzchołka Dłużca dawna *Tabaksweg* odbijać miała nieco na południo-zachód. Dziś trudno znaleźć to miejsce. Współczesne mapy nazwę drogi przenoszą natomiast na ciągnący się dalej w stronę Starego Grzbiecia dukt leśny. Jeżeli powędrujemy nim nieco niżej, z prawej dostrzeżemy słupek oddziałowy z numerami: 113, 114, 123 i 124. Skręcając koło niego w lewo (idąc od strony wierzchołka Dłużca) w szeroką przecinkę leśną i schodząc nią kilkadziesiąt metrów w dół dojdziemy do leżącej po lewej niewielkiej polany. To w jej rejonie mapy lokalizują Tytoniowe Źródło. Komu uda się tu dobrnąć, odnajdzie w kępie drzew ruinę małego budynekczku, oznaczanego jeszcze na przedwojennych mapach. Jaką pełnił on rolę? Na polskich mapach podpisano go jako domek myśliwski. Może był to taki odpowiednik stojącej dawniej również w Grzbiecie Kamienickim, dziś nieistniejącej, *Byczej Chaty*? Trudno tego dziś dociec stojąc przy jego pozostałościach. Z tych najbardziej okazałą jest fragment wysokiej na około 1,7 m murowanej ściany, choć w ruinach leży też trochę drewna.

Zapuszczającym się w ten zakątek nie polecam schodzenia wspomnianą przecinką w dół. Trudno tam brnąć. Wysoka trawa i liczne bagienka, aż po równie bagnistą tzw. Błotnistą Drogę. Taki jest obrazek tego miejsca. Także dzięki temu to dzikie odludzie ma swój urok.

Bartosz Skowroński



Pozostałości budynekczku koło Tytoniowego Źródła

W listopadzie po Kaczawskich

Synoptycy zapowiadali ładną pogodę w weekend, samochód odebrałem od mechanika, parę groszy na paliwo i nocleg miałem, więc... w Góry Kaczawskie!

Kilka kilometrów za Bolkowem, jadąc trójką w kierunku Jeleniej Góry, po prawej stronie jest parking. Przyjechałem tam jeszcze przed świtem, w ładną noc, bezchmurną i księżycową. Założyłem ochraniacze, spokojnie wypilem kawę, a gdy z ciemności wyłoniły się zarysy przydrożnych drzew, poszedłem ku pobliskiemu szczytowi Wrzosowiska.

Dzień wstawał zimny, chmurny i mglisty, niewiele więc widziałem ze szczytu. Polami poszedłem w stronę wioski Nowe Rochowice, które, jak się okazało, nowe raczej nie są. Drogi nie znalazłem, między dzieliły pola w poprzek mojego kierunku marszu, buty zrobiły się ciężkie od przyklepionego do nich błota, a szaroburej mgły było coraz więcej. Listopadowy dzień. Trudno, pomyślałem. Z ulgą zobaczyłem wąską strugę asfaltu i dachy domów wioski. Miałem iść w lewo, ku Rakarni, ale chcąc zobaczyć początek tej bocznej drogi, poszedłem w prawo, w stronę drogi numer 3. Wracając, skusiła mnie dróżka, jak wiele już razy, a ostatnio coraz częściej; ta odłączała się od asfaltu i znikła między drzewami. Poszedłem za nią i trafiłem na nieczynną, starą, powoli zarastającą drzewami, kopalnię kamieni. Aparat buntował się z powodu słabego światła, gdy chciałem zrobić zdjęcia rozrytemu zboczu góry, które w ten ponury ranek wyglądało jak długo zablizniająca się rana – uporczywy ślad ludzi, którzy odsłoniли odwieczne skały Ziemi i zostawiwszy je obnażone, poszli sobie.

Przy dróżce stał okazały buk, pewny trzymującej go w pionie podstawie swoich korzeni, które spływały w dół po pochyłości coraz liczniejszymi odnogami, niczym dopływy rzeki. Te drzewa często wykształcają systemy korzeniowe szerokie, mocno rozgałęzione, nierzadko splecione i pełne węzłów czy guzów. Lubię patrzeć na nie, wydają się być umięśnionymi, naprężonymi, silnymi paluchami. Setkami i tysiącami swoich pazurów wczepiają się w ziemię, wciskają się między skały, oplatają je i wynoszą w górę (widziałem!) lub miażdżą w swoich ściskach. Także i pnie tych drzew, gładkie, z pionowymi wgłębieniami, budzą skojarzenia z muskularnym, silnym ciałem; patrząc na nie, czasami przypomina mi się niedokończona rzeźba budzącego się jeńca Michała Anioła.

Zaraz za wioską, na zboczu Rakarni, stoją dwa maszty radiowe, maszty widoczne z odległości wielu kilometrów i pozwalające bezbłędnie rozpoznać szczyt, a paręset metrów dalej, na brzegu lasu, u rozstaju dróg, wznoszą się skały zwane Zbójeckim Kamieniem. Poznanie dróg wchodzących w las zostawiłem na później i poszedłem tą, która obiecała mi rozległe widoki. Kończyła się niewiele dalej, przy samotnie stojącym, ładnym domu. Dalej biegła zarośnięta dróżka opadająca w dolinę. Zostawiłem ją i przeszedłszy dno wąwozu, wspiałem się po stromym zboczu na otwartą przestrzeń. Trwała tam walka między mgłą ganianą wiatrem a słońcem. Stopniowo, powoli, słońce wygrywało dla siebie coraz dalsze dale i odleglejsze szczyty.

Słońce dobywa urok z drobnostek, z paru liści drżących na brzozie, z tłustego połysku skib przeoranej ziemi, z kropel wody wiszących na liściach traw. Patrząc chcąc zapamiętać dostrzeżony urok, a bywa, że gdy w końcu pójdę dalej, wracam i robię dziesiątki zdjęć w nadziei złapania w kadrze tego czegoś, co wracać mi każało.

Poszedłem skrajem lasu w stronę Lisianki; pole w cieniu, przy drzewach, było siwosrebrzyste szronem, dalej, w słońcu, zieleniło się morko. Przez przełęcz na zboczu Lisianki przepływały zwały szarej mgły,



ale, jak się szybko okazało, była to jej ucieczka, nie atak, bo wkrótce zostały tylko te, które uporczywie trzymały się zboczy wzgórz w oddali, ale trwały tam przeobrażone słońcem: były białosrebrzyste, opalizujące, ładne. Góry widoczne zza tej półprzezroczystej, jaśniejącej zasłony, były bardziej tajemnicze, wydawały się wyższe i bardziej pociągające; dalsze stapiały się z niebem, coraz bardziej eteryczne, aż rozplływały się w jasności słońca. Bliżej, w dolinie, widziałem sielski obraz słońcem malowanych pól, zagajników i wioski, a tuż przy mnie srebrzyście świecąca pajęczyna kropel wody na kębach traw rosnących przy strumyku. Robiłem zdjęcia tej feerii połyskliwego światła, ale ono nie dało mi się uchwycić w kadr.

Na rozgałęzieniu dróg wybrałem prowadzącą w górę, ale po kilku minutach doszedłem do stada bydła pasącego się tuż przy drodze. Jeden osobnik, patrzący na mnie wyjątkowo paskudnie, wyglądał jak... byk. Byk to czy krowa? Nachyliłem się próbując dostrzec, hmm, cechę wyróżniającą, ale byko-krowa stało w takiej pozycji, że pewności nie miałem, a to gapiło się na mnie spode łba. Spojrzałem na drzewa – jakbym oceniał możliwość wspięcia się na któreś. Nie, lepiej nie sprawdzać, drogę poznam innym razem, zdecydowałem zawracając.

Drugą dróżką schodziłem ku wiosce, Starym Rochowicom; na wprost widziałbym Wilkonia, ale akurat tam była jeszcze mgła. Kilometr dalej, w dole, spomiędzy domów, wychodziła dróżka i pięła się na szczyty sąsiednich wzniesień; starałem się zapamiętać charakterystyczne miejsca chcąc pójść tamtędy, bo wszak obiecałem sobie całodzienne włóczenie się po tej okolicy. Wyszedłem na podwórze posesji nr 82, ale tuż przed podwórzem jest odgałęzienie w lewo, omija ono domostwo kończąc się na szosie.

Drogę znalazłem i rozglądając się, szedłem nią na następne wzniesienia: świat wokół coraz mniej miał kolorów. Lasy stały czarne lub szare, trawy żółkły, tylko tu i tam kolorowa jeszcze brzoza albo pole zielonej oziminy przyciągały wzrok. Chciałbym widzieć te góry w zieleni, w kwitnieniu, w letnim słońcu, nagrzane, pachnące, ale nie mogą być tutaj wiosną i latem. Gdy patrzę na nie późną jesienią lub zimą i widzę ich trudny w odbiorze urok, czasami pojawiają się we mnie wyobrażenia ich wyglądu w maju lub w lipcu, a są one urokliwe i pociągające. Wzdycham i idę dalej, ale bywa też, że nim przejdę tamte obrazy, pojawia się żal do siebie – jakbym uświadomił sobie skrzywdzenie niewinnego, a zaraz po nim bunt przeciwko takiemu odbiorowi, takim wrażeniom, bunt wobec takiej mojej reakcji na naturalne zmiany wyglądu listopadowych lub styczniowych gór. Gdy wtedy rozejrzę się wokół siebie, góry, te szare, pod chmurnym niebem, stają się piękniejsze niż były przed chwilą. To tak, jakbym nagle, w jednej chwili jasnego widzenia, patrzenia bez okularów założonych przez uczucie, zobaczył skazy urody lub znamiona lat na twarzy kochanej osoby, i w chwilę później kochał jeszcze bardziej – nie mimo tych znamion, a właśnie dzięki nim.

Wzdłuż drogi rosły krzewy tarniny, zerwałem całą garść owoców i jadłem je czując tak charakterystyczną ich cierpkość; przypominała mi odległe lata dzieciństwa na wsi, której już nie ma poza moją pamięcią. Po drugiej stronie doliny mgła w końcu ustąpiła, patrzyłem chwilę na szczyty, nim rozpoznałem Wilkonia i odkryte północne zbocze góry, którym niedawno schodziłem zauroczony doliną przede mną.



liną przede mną.

Wędrowałem. Nie byłem z żadnym określonym miejscem, byłem w wielu miejscach między jednymi i drugimi Rochowicami, po prostu włóczęc się po okolicy. Znalazłem tam kilka miejsc tak ładnych, że wrócić do nich i wracać będę. Minąłem parking z moim

samochodem i skręciłem w drogę prowadzącą do osady Sześć Domków, kolonii wioski Gorzanowice. Na mapie widziałem niewielkie zagajniki wśród rozległych łąk, i teraz, mając godzinę do zmroku, postanowiłem zrobić zwiad, dokładną penetrację okolicy zostawiając na inny dzień.



Zmierzchało się, ale gdy z lasu wyszedłem na otwartą przestrzeń grzbietu wzniesienia, zrobiło się jaśniej. Po prawej słońce jeszcze świeciło, ale już było schowane za odległym, czarnym szczytem. Ponad nierówną, ostro rysowaną linię lasu, wystawała... kula: patrzyłem na Porębę. Trochę na lewo od niej, na najdalszym horyzoncie, ponad kaczawskimi szczytami dalszej części wschodniego ich pasma, widać było zarysy szczytów Gór Wałbrzyskich.

Świat wokół był coraz bardziej mglisty, coraz mniej realności w nim było, a więcej domysłu. Stawał się nieokreślony, jakby niedomalowany lub niedośniony, jakbym senne marzenie oglądał po przebudzeniu. Jedynie kula na szczycie Poręby tkwiła ponad lasem ostro rysowana na tle wstającej zorzy zachodu. Wracałem mając zorzę na wprost. Ogromniała, nabierała intensywności barw, wielka i jasna, a świat w dole ciemniał i tracił barwy.

Pojechałem do Bolkowa, wynająłem pokój w tanim, ale dobrze utrzymanym hoteliku znanym mi już z poprzedniego wyjazdu. Dając mi klucz, właściciel zapytał o cel chodzenia w góry i od raz wyraził przypuszczenie, iż zbieram agaty.

- Nie. Coś cenniejszego.
- Złoto! – to było stwierdzenie, nie pytanie.
- Nie, wrażenia. Zbieram wrażenia.
- Wrażenia? – mój rozmówca był zdziwiony, chyba też trochę rozczarowany.

Zostawiłem go i poszedłem na górę. Na schodach przypomniał mi się mężczyzna spotkany rok temu w Płoszczynie i dopytujący się o powód mojego wchodzenia na Stromca. Gdy odchodziłem, jeszcze wołał za mną: „Ale tam nic nie ma!”

A było.

Krzysztof Gdula

Górski Dom Turysty
"Pod Biskupią Kopą"
48-267 Jarnołtówek 211
tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
e-mail: biskupiakopa@wp.pl



Wodospadowa perła Rychlebskich Gór

Podróżując po Republice Czeskiej, już niedaleko od granicy z Polską, po przejechaniu granicy państwowej w Bilej Vodě, tuż za Paczkowem na trasie między Jeseníkiem a Javorníkiem mamy możliwość podziwiania wielu ciekawych obiektów krajoznawczych. Jadąc tą drogą, by zobaczyć jeden z przepięknych elementów krajobrazu, trzeba zjechać w miejscowości Žulova.

Należy do nich niewątpliwie jeden z piękniejszych wodospadów sudeckich, jakim jest Wodospad Nyznerov. Niewielki Srebrny Potok, z dorzecza Nysy Kłodzkiej, który tworzy ten wodospad, leży w Rychlebskich Górach (Rychlebské hory), dość wysokich górach z najwyższym szczytem Smrek (1125 m). Są one przecinane wieloma dolinami rzeczny-
mi, z których do najpiękniejszych należy dolina Srebrnego Potoku. Jak sama nazwa wskazuje, płynie w nim krystalicznie czysta, czyli srebrna woda. I właśnie w dawnych wiekach w tej dolinie wydobywano srebro. Miejsce to oficjalnie nazywa się „Chroniony Pomnik Przyrody – Wodospad Srebrnego Potoku”.



Wędrując kilka kilometrów od parkingu do wodospadu, możemy podziwiać piękno krajobrazu, ukształtowanego przez matkę-przyrodę. Uroczy potok z szemrzącą wodą, piękne lasy porastające otaczające potok zbocza górskie, wyłaniające się często widoki na górskie masywy: Jesioników i Śnieżnika, cieszą oko każdego turysty. Cała okolica wokół wodospadu jest więc bardzo ciekawa ze względu na niezwykle krajobraz, typowy dla wyższych partii gór. Dojście do wodospadu, który znajduje się 2 km od osady Nyznerov, nie jest nadzwyczaj uciążliwe, gdyż prowadzi do niego wygodny leśny trakt. A po drodze, po przejściu około 1,5 km, można odpocząć w drewnianym schronie.

Wodospad Nyznerowski to imponująca kaskada wodna Srebrnego Potoku, który ma swoje źródła w masywie Smreka i jest usytuowany kilkadziesiąt metrów nad jego zbiegiem z Potokiem Brucińskim. Sam Srebrny Potok ma 12 km długości, a jego wody pokonują 700 m różnicy wysokości. Woda spada z wysokości 14 m. Sam wodospad, w formie jaru wydrążonego w łupkach krystalicznych, jest przykładem zjawiska erozji rzecznej i powstał na progu skalnym, stworzonym przez gabra odporne na erozję i żyłę amfiboliczną w łupkach krystalicznych. Dolna część wodospadu to kaskadowy ciek, toczący wodę wąską skalną cieśniną. Ta jego część jest dostępna po zejściu kamiennymi schodkami do charakterystycznego kotła, przypominającego jaskinię. Wodospad tworzy przepiękną scenę do oglądania zimą, gdy mróz wyczaruje z wody wspaniałe sople lodu.



Wytrawni turyści, którzy dotrą do Žulovej autobusem, gdy już przejdą proces podziwiania i zachwytu nad tą perłą krajobrazu, mogą wędrować dalej. Piękna widokowo turystyczna ścieżka wiedzie przez Lwią Górę do Górnej Lipowej. Idąc dalej w górę niebieskim szlakiem, dociera się do Kowadła (989 m) w polskiej części Gór Rychlebskich zwanych przez nas Górami Żłotymi. Można stąd zejść do Bielicy lub wędrować dalej albo na Smrek, albo grzbietami Gór Żłotych przez przełęcze: Gierałtowską, Karpowską i Łądecką aż do Borówkowej (990 m).

Stanisław Dziuba

Wędrując z plecakiem pamiętajmy o tych miejscach!

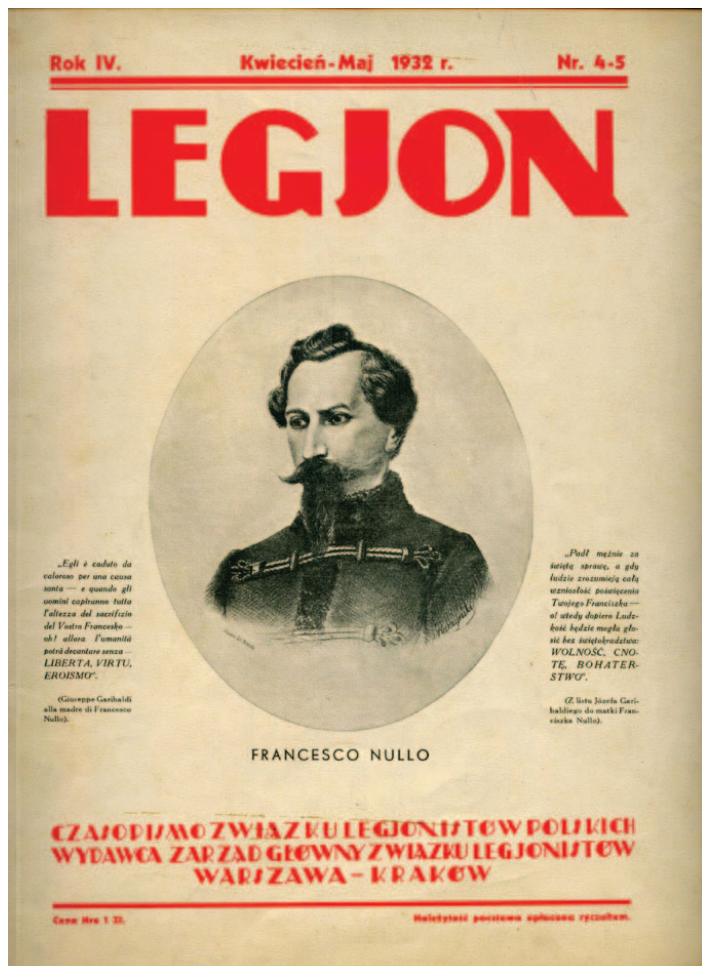
W 100 rocznicę Wielkiej Wojny (6)

W sierpniu 1914 r. wybuchła I wojna światowa. Pod broń powołano prawie 65 mln ludzi. Ogółem straty w niej wyniosły około 12 mln osób, w tym około 9 mln żołnierzy. Za formalne zakończenie wojny uznaje się wersalski traktat pokojowy z 28.06.1919 r. Po wojnie odrodziły się i powstały nowe państwa: Polska, Czechosłowacja, Jugosławia, Litwa, Łotwa, Estonia, Finlandia.

W sierpniu 1914 r. utworzono Legion Wschodni i Legion Zachodni, połączone jesienią 1914 r. pod nazwą Legiony Polskie. W grudniu powołano I Brygadę, w maju 1915 r. w Kołomyi II Brygadę, zwaną Karpacką lub Żelazną, w tymże miesiącu też III Brygadę. Łącznie w Legionach było około 30 tys. żołnierzy. Większość stanowiła młodzież. Większe walki miały miejsce m.in. pod Nowym Korczynem (IX 1914), Anielinem i Laskami (X 1914), Krzywopłotami, Marcinkowicami i Łowczówkiem (XII 1914), Konarami (VI 1915) – w tej bitwie zginął najmłodszy legionista, 17-letni Wincenty Borończyk, uczeń IV klasy wadowickiego gimnazjum. W miesięczniku „Poznaj swój kraj” nr 1/1995 w artykule „Potrzebny szlak turystyczny” Jerzy Kocot pisze o tym uczniu: „(...) zgłosił się 15 maja na ochotnika do komendanta wojskowego transportu w Wadowicach, zostawiając w gimnazjum pod ławką tornister z książkami i zeszytami. Przyjęto go do III baonu 1 pp. Ciężko ranny pod Ożarowem, zmarł 23 czerwca w szpitalu polowym w Iwaniskach, pochowany został na cmentarzu w tej wsi”.

W lipcu 1916 r. miała miejsce bitwa pod Kostiuchnowką, a 3 VIII nad rzeką Stochod. W 2014 r. minęła 100. rocznica wybuchu tej wojny, która objęła całą Europę. W dniu 13.06.1915r. miała miejsce szarża ułanów polskich pod Rokitną, ale kto o tym pamięta? Głośno było o szarży pod Somosierrą, która chluby nam nie przynosi. Na wrocławskiej Górcie Saneczkowej (zwanej też Cymbo lub Kilimandżaro) koło Morskiego Oka nakręcano przed laty sceny do filmu „Bitwa pod Somosierrą”. Czy któryś z polskich reżyserów nakręci kiedyś film o czynie niepodległościowym „legunów”? To prawda, że udział Legionów Polskich w wojnie stanowił mały epizod, ale one walczyły o byt narodu i odnowę naszego państwa. Prezydent Polski w latach 1926-1939 Ignacy Mościcki powiedział, że „Legiony pod przewodnictwem swego ukochanego Wodza zdobyły niepodległość – ta prawda wyniknie niezbitcie ze studiów historycznych nad odrodzeniem państwa polskiego”. Czy wynikła? Minął czas zakłamania, a cisza trwała nadal. Aleksander hr. Fredro pisał: „Za kłamstwo języka – nahaj! Za kłamstwo pióra – pręgiierz!”. Szkoda czasem, że wrocławski pręgiierz w Rynku nie jest używany we właściwym celu.

W dniu 19.05.1980 r. zmarł we Wrocławiu legionista Stanisław Mastalski. Jako 16-latek



ucieł z domu do I Brygady, był ranny w bitwie pod Mołotkowem. W dniu 13.11.1986 r. zmarł we Wrocławiu jeden z ostatnich, zapomnianych legionistów, płk dypl. Jan Maksymilian Sokołowski, Kawaler Krzyża Virtuti Militari i wielu innych odznaczeń. Książkę o nim „Zapomniany Pułkownik”, wydaną w 1992 r., napisał Antoni Lenkiewicz. Uczestniczyłem w żałobnej mszy w kościele uniwersyteckim i w pogrzebie na Cmentarzu Osobowickim, gdzie Władysław Załogowicz dziękował pułkownikowi, że we wrześniu 1939 r. przybył spod Wilna bronić Lwowa. Mówił: „Panie Pułkowniku! Powinny być tutaj salwy, werble, powinni być żołnierze. Nie wiem, dlaczego tak nie jest. Przyszli najwierniejsi. Teraz w niebie odbierasz należne Ci honory wojskowe. Witają Ciebie Twoi żołnierze, wśród których jest i Twój syn (Andrzej) poległy pod Monte Cassino. Żegnam Ciebie w imieniu wszystkich żołnierzy Armii Krajowej. Semper Fidelis. Do zobaczenia, Panie Pułkowniku!”. Rok przed śmiercią pana Jana chciałem z Nim przeprowadzić rozmowę-wywiad do zbieranych wówczas materiałów na wystawę o Legionach. Po dzwonku, gdy ukazał się w drzwiach, przedstawiłem się, ale mi przerwał, ostro krzyknąwszy „paszoł won!”. Dowiedziałem się nieco później, że pan Jan miał przytępiony słuch i myślał, że to któryś z SB-ków zatruwa mu (często tak bywało) życie. Gdybym miał wówczas w ręku bukiet biało-czerwonych kwiatów? Ale byłem po pogrzebie Pana Jana zaproszony przez Jego córkę Bożenę na stypę do mieszkania Zmarłego. To było niezapomniane spotkanie we wnętrzu ozdobionym akcentami patriotycznymi.

Moja wspomniana wyżej amatorska wystawa fotograficzna była eksponowana po raz pierwszy w salce przy wrocławskim kościele św. Elżbiety na ul. Grabiszyńskiej, zwanej wówczas ZOMO-strasie (trwał stan wojenny). Gratulacje składał mi ks. bp Henryk Gulbinowicz. Potem była w Sali Klubowej Oddziału Wrocławskiego PTTK, Nowym Sączu, Krośnie, Tarnowie, Mszanie Dolnej, Kasince Małej, Zakopanem, w Domu Polskiej Misji Katolickiej w Rotterdamie – Holandia, w Radomiu na Centralnym Zlocie Krajoznawców, DW „Czerwony Kozioł” w Głuchołazach, Muzeum w Prudniku, Domu Kultury w Oławie, Bielsku-Białej, Krakowie. W planie na 2015 r. jest Tarłów w woj. Świętokrzyskim – staraniem Towarzystwa Miłośników Ziemi Tarłowskiej.

Koniec
Andrzej Rumiński

iskra

włączasz outlooka
sącząc kroplówkę czasu
spacerując nerwowo
po gładkich krawężnikach dobra i zła

idziesz w góry
zero zysku
mijasz Koszystą
pliszka zabrała iskrę miasta

schodzisz z gór
by jeszcze mocniej kochać

(Twarze z gór, 2008)

Joanna Pociask-Karteczka

Dolina Waksmundzka oraz masywy Wołoszyna i Koszyste]. Fot. wikipedia.pl

Beskidzki klasyk z Romanką i Słowianką w głównej roli

Jest Romanka jedną z najciekawszych i najwyższych gór Beskidu Żywieckiego. Mierzy 1366 m i jest dobrze widoczna ze wszystkich okolicznych wierzchołków. W tym odcinku będzie jednym z dwóch głównych punktów trasy, choć tylko przechodnim. Miejscem startu może być schronisko PTTK na Lipowskiej lub na Rysiance. Oba schroniska dzieli raptem 10-15 min. przejścia wygodną ścieżką, zatem bez różnicy jest, czy zatrzymaliśmy się w tym, czy drugim. Kierujemy się w stronę Hali i Przełęczy Pawlusiej. Na halę prowadzą razem trzy szlaki: zielony schodzący z hali w lewo do Żabnicy Skalki, czerwony odbijający z przełęczy w kierunku Słowianki i Węgierskiej Górki oraz żółty prowadzący na wierzchołek Romanki. Z Hali Rysianka (1290 m) schodzimy na Przeł. Pawlusią (1186 m) przez piękną widokową halę. Z niej widoki ku Pilsku i Babiej Górze. Te widoki będą nam towarzyszyły jeszcze czas jakiś podczas podejścia z przełęczy na Romankę. Najpierw jednak tuż za przełęczą, na skraju lasu, opuści nas czerwony szlak prowadzący do „Słowianki”. Zaczynamy podchodzić, a im wyżej, tym piękniej prezentuje się Babia Góra, dopóki idziemy skrajem lasu na wzniesienie Martoszki (1288 m). Jest to wierzchołek wyraźnie zaznaczony w widoku ze szlaku, gdy schodzimy na Przeł. Pawlusią z Rysianki. Po lewej charakterystyczny ciemny las, po prawej wylesione zbocze. Niestety, po kilkunastu minutach wchodzimy w las, cały czas wznosząc się w miarę łagodnie, ale konsekwentnie. Kończą się widoki. Po godzinie od wyjścia z Rysianki stajemy na wierzchołku Romanki, z którego niewiele widać, nawet z kopczyka będącego pozostałością po wieży triangulacyjnej.

Teraz zmiana szlaku i nagły zwrot kierunku marszu. Spotykamy szlak niebieski, który na wprost na północowschód wiedzie głównym grzbietem Romanki, my zaś skręcamy w całkiem przeciwnym kierunku, czyli jakby „za siebie” na południowachód. Króciutki trawers, po czym zaczynamy schodzić bardzo ładną percią. Po kilkunastu minutach kolejny zwrot kierunku – ku północy. Wchodzimy na wygodny, opadający trawers przecinający naprawdę strome zachodnie zbocze masywu. Spotykamy głązy i wykroty, po 20 min. następują odcinki stromszego zejścia, aż wreszcie wychodzimy z lasu. Przed nami las Tajch, a po lewej stronie rzadkie zabudowania wysoko położonego przysiółka Płone. Jest to najdalej na wschód wysunięty przysiółek Żabnicy. Schodzimy na rozległe siodło, gdzie spotykamy czerwony szlak, ten sam, który towarzyszył nam na początku wycieczki. Na żółtych słupkach widzimy znaki szlaku rowerowego. Z siodła droga w lewo sprowadza do Płonego, czerwony szlak, przy ogrodzeniu z bali, wiedzie prosto. Jeszcze kilkanaście minut, mijamy samotną zagrodę z koniem i krową, jeszcze kawałek lekkiego podejścia i stajemy u progu „Słowianki” (ok. 856 m) – słynnej



Rysianka i Lipowska od strony „Słowianki”

stacji turystycznej. Jest to skromna, ale wygodna i jakże przydatna baza na długim szlaku z Węgierskiej Górki do Rysianki.

Jest „Słowianka” ważnym miejscem na turystycznej mapie. W oparciu o tę stację można planować wędrowkę przez środek Beskidu Żywieckiego. Tu krzyżuje się kilka szlaków. Warto o nich napisać kilka słów. Szlak czerwony, czyli Główny Szlak Beskidzki, prowadzi z Węgierskiej Górki na Rysiankę i dalej na Halę Miziową, czarny szlak dochodzi przez Żabnicę Skałkę z Hali Boraczej, niebieski z Bystrej i dalej przez Romankę i Sopotnię Małą do Żywca. Jest to także węzeł kilku szlaków rowerowych. Czas na dłuższy odpoczynek, jesteśmy bowiem w połowie trasy.

Można kupić coś do jedzenia w sklepiku i przysiąść przy stołach przed schroniskiem, można samemu przygotować posiłek w samoobsługowej kuchni z jadalnią. Od wyjścia z Rysianki do „Słowianki” minie 2-2,5 godz. Na powrót wybieramy inny szlak, czyli czerwony. Wracamy do siodełka, gdzie rozchodzą się szlaki niebieski i czerwony. Przed nami ciemna sylwetka Romanki, nieco w prawo Grupa Lipowskiej i Rysianki. Czerwony szlak zwraca się w prawo, zrazu leciutko obniżamy się, by po paru minutach skrócić w lewo pod kątem prostym, już pod górę. Po 200 m podejścia szlak zwraca się w prawo na wznoszący się trawers. Widoki w kierunku Hali Boraczej. Jeszcze idziemy chwilę odkrytym terenem, po czym ścieżka zagłębia się w las na zachodnim zboczu Romanki. Cały czas lekkie podejście, zbocze, które przecina szlak staje się dość strome, po lewej stronie pojawiają się głazy i skały ukryte w lesie.

Mało kto zwraca na nie uwagę, a warto. Teren i szlak nie są wcale takie nudne, jak się to czasem przedstawia, wystarczy trochę się rozejrzeć. Jak czytamy w jednym z przewodników: *Przejście tego trawersu zajmuje około godzinę. Nie jest on zbyt ciekawy, po czym ...stok Romanki jest tu stromy i dziki. Przecinają go liczne źródłowe strugi Żabnicy, pomiędzy którymi szlak kluczy zakolami.*



Stacja turystyczna „Słowianka”



Romanka

Ścieżka jest wąska, niewygodna a po deszczu śliska. Czyż to niewystarczająca rekomendacja i zapowiedź atrakcyjnego, ciekawego przejścia? W pewnej chwili zbocze staje dęba i widzimy przed sobą skalisty fragment, którym wiedzie szlak. To jedyny poza Babią Górą odcinek znakowanego szlaku, gdzie turysta przeprawia się skalną półką z łańcuchem. Jest to krótki, nietrudny, ale atrakcyjny i malowniczy odcinek. Oczywiście w czasie deszczu, w ciemności, zimą czy na przedwiośniu miejsce to wymaga od turysty dużo większej uwagi i ostrożności. Przy końcu odcinka pod nogami jest około 8 m skalnego

urwiska, a i pod nim stok jest stromy. Słowem, jest gdzie spadać. Po tych atrakcjach już spokojnie i relaksowo wznosimy się ku widocznej chwilami Przełęczy Pawlusiej, by osiągnąć ją na granicy lasu i hali. Pozostaje podejście drogą wśród rzadkiego lasu na skraj Hali Rysianka i do schroniska. Powrót ze „Słowianki” zajmuje około 2,5 godz., a cała wycieczka 5 godz. bez odpoczynków i niespiesznym krokiem, oczywiście w dobrych warunkach pogodowych. Pamiętajmy, że po deszczu czy o zmroku ścieżka na niebieskim szlaku i fragmenty szlaku czerwonego stają się nieco trudne. Warto jednak poświęcić dzień podczas wędrowki przez Beskid Żywiecki, by mając bazę w schronisku na Lipowskiej lub Rysiance przejść opisaną trasę.



Skalna „przełazka” na zboczu Romanki

Juliusz Wystouch

Spacer po Strzegomiu

Naszą wędrowkę po mieście zaczynamy na Rynku przy replice pręgierza, który do końca XIX w. pełnił rolę instrumentu publicznego wymiaru sprawiedliwości. Centralną część Rynku zajmuje wybudowany w latach 1858-1860 Ratusz, mieszczący siedzibę władz miejskich. Jedynym średniowiecznym fragmentem bloku śródrynkowego zachowanym do naszych czasów jest Wieża Targowa o wysokości 31,5 m, którą można zwiedzać w sezonie letnim w każdą niedzielę w godzinach 15-18. Z Rynku wychodzimy ul. Dąbrowskiego i po chwili skręcamy w lewo w ul. Kościelną, gdzie znajduje się wybudowany pod koniec XIV w. kościół pw. św. Barbary. Następnie wracamy do ul. Dąbrowskiego i idąc dalej widzimy przed sobą kaplicę św. Antoniego, która została wybudowana w XV w. jako basteja obronna przy ówczesnej Bramie Nowej. Skręcamy w prawo i przechodzimy pod wiaduktem nieczynnej linii kolejowej Strzegom – Marciszów. Mijamy po prawej zabudowania dawnego dworca PKS, za którym wchodzimy na miejskie planty, po czym skręcamy w prawo i przechodzimy pod estakadą kolejową dochodząc do Bazyliki Mniejszej pw. Św. Ap. Piotra i Pawła. Jest to monumentalna gotycka budowla, w której znajduje się najstarszy pracujący dzwon w Polsce. Po obejrzeniu Bazyliki ulicami Kościelną i św. Tomasza dochodzimy do plantów miejskich, gdzie możemy podziwiać średniowieczne mury obronne wraz z Basztą Dziobową. Idąc plantami dochodzimy do ul. Kościuszki, następnie ul. Promenada udajemy się na Krzyżową Górę (353 m), skąd możemy podziwiać m.in. Masyw Ślęży, góry Sowie, Wałbrzyskie czy Kaczawskie. Z Krzyżowej Góry wracamy do Rynku. Szczegółowy przebieg szlaku znajduje się na stronie internetowej www.ks-j.com.pl

Trasa spacerowa po Strzegomiu: długość szlaku: 5,5 km, stopień trudności: łatwy.

Ciekawostki na szlaku: replika pręgierza, Bazylika Mniejsza, Ratusz, Wieża Targowa, Krzyżowa Góra, Dawny Zespół Pokarmelitański.

LOT „Księstwo Świdnicko-Jaworskie”

Killarney: miasteczko na końcu drogi

Kanadyjska droga numer 637 została zbudowana dopiero w 1963 r. Odgałęzia się od highway nr 69, po czym na długości 69 km prowadzi przez zupełne pustkowia w kierunku południowo-zachodnim i kończy się nagle na brzegu jeziora Huron. A dokładniej: na brzegu największej zatoki tego jeziora, nazwanej w 1822 r. Georgian Bay – na cześć angielskiego króla Jerzego IV. A jeszcze dokładniej: na brzegu wąskiego, głębokiego kanału, oddzielającego od stałego lądu sporą wyspę George Island. Kanał, osłonięty wysokim brzegiem wyspy, zapewniał bezpieczne połączenie Georgian Bay z zatoką, nazywaną dziś Killarney Bay (stąd też wzięła się jego pierwotna nazwa: *Shebahonaning*, co w języku indiańskiego plemienia Anishinaubaeck, zamieszkującego niegdyś te tereny, znaczy „Bezpieczne przejście”). No i był idealnym miejscem na przystań.

Do czasu, gdy wybudowano wspomnianą drogę, jedynym oknem na świat miasteczka był właśnie port. Zresztą, od przystani rozpoczęła się w 1820 r. historia tego zakątka Kanady. Wtedy to przybył tu francuski handlarz Étienne Rochebert Augustine de la Morandière wraz ze swą indiańską żoną Josephte *Sai sai go no kwe* („Kobieta z Padającego Śniegu”). Monsieur de la Morandière zbudował nad brzegiem kanału pierwszą chatę z bali i uruchomił punkt tranzytowy dla podróżujących dalej na północ i zachód. Zaczęli się tu zatrzymywać handlarze futer, kupcy, przedsiębiorcy, koloniści, misjonarze i różnej maści poszukiwacze przygód, udający się w kierunku wyspy Manitoulin i Kanału Północnego.

Wszyscy oni podróżowali indiańskimi canoe wzdłuż wybrzeży Georgian Bay. Innej drogi nie było! Trzy lata później – oczywiście drogą wodną! – dotarły tu pierwsze krowy, a w 1836 r. w przystani rodzącej się osady zacumował pierwszy parowiec. W 1852 r. stanął drewniany kościół, a dwa lata później uruchomiono pocztę. Przy tej okazji dokonana się zmiana oficjalnego adresu osady z indiańskiego *Shebahonaning* na Killarney. Niestety, mieszkańcy miasteczka do dziś nie wiedzą, kto stał za tą zmianą! Czasami inicjatywę przypisuje się Lady Dufferin, żonie trzeciego z kolei Gubernatora Generalnego Kanady Fredericka Hamilton-Temple-Blackwooda, hr. Dufferin i Ava. Oboje z żoną byli znani z tego, że lubili podróżować i przemierzyli wszystkie kanadyjskie prowincje. Sęk w tym, że pani gubernatorowa odwiedziła osadę w połowie lat 70. XIX w., a więc dwadzieścia lat po tym, jak zaczęła działać „poczta Killarney”. Ba, nie wiadomo, dlaczego Killarney nazwano właśnie „Killarney”! Przypuszcza się, że mógł to zrobić jakiś Irlandczyk, któremu tutejsza okolica, pełna wzgórz i jezior, przypominała krajobraz z regionu Killarney w południowo-zachodniej Irlandii.

W 1858 r. było tu 73 mieszkańców. W 1871 r. liczba ta wynosiła już jednak 220 i zaszła potrzeba urządzenie szkoły, co miało miejsce pięć lat później. Pierwszy nauczyciel na czternaście miesięcy funkcjonowania szkoły otrzymał fundusz wysokości 220 dolarów. Oczywiście ówczesnych dolarów, co powinno zdecydowanie poprawić nasze wyobrażenie o dochodach owego odważnego pedagoga! W 1881 r. populacja osady wzrosła do 405 osób. Zapewne nie wszystkie one zachowywały się jak należy, skoro



Nasz motel uczepony jest gładkiej, granitowej skały

wkrótce koniecznym było wybudowanie aresztu. To był zresztą okres najszybszego wzrostu liczby ludności Killarney: w 1891 r. miało ono już 501 dusz, a więc więcej niż obecnie!

No właśnie. Dziś miasteczko liczy niespełna 500 stałych mieszkańców. Ma kilka niewielkich hoteli, tyleż pensjonatów, ze trzy sklepy (w tym monopolowy!), bar śniadaniowy i znaną wśród turystów smażalnię ryb niejakiego pana Herberta. Jest kościół, ośrodek zdrowia, a za



Najbardziej niecierpliwi przybywają do Killarney śmigłowcem

ostatnimi zabudowaniami pas startowy miejscowego, turystycznego lotniska. No i jest lokalne muzeum w chacie z drewnianych bali („Located on Commissioner Street”, jak głosi afisz – w samym „centrum” osady, pomiędzy zachowanym do dziś aresztem a nowym budynkiem straży pożarnej), w którym znaleźć można mnóstwo interesujących informacji o dawnym Killarney.

Miejscem, wokół którego toczy się życie miasteczka, jest jednak port i biegnąca równolegle do jego nabrzeży Channel Street. Tak było zresztą od samego początku istnienia osady. Aby ułatwić statkom po zmierzchu lub przy złych warunkach atmosferycznych znalezienie wejść do kanału *Shebahoning*, latem 1867 r. wybudowano u jego wylotów dwie latarnie „morskie”. Były to pierwsze takie obiekty uruchomione w istniejącej od 1 lipca tegoż roku Konfederacji Kanady. Killarney West Lighthouse wzniesiona została na niewielkiej wysepce u zachodniego wylotu, natomiast Killarney East Lighthouse – na skalistym półwyspie stałego lądu na wschód od osady. Obie, przebudowane w 1909 r., dalej pełnią swoje funkcje. Tereny wokół wschodniej latarni są dziś ulubionym miejscem plażowania dla przybywających tu turystów.

A są to bardzo pracowite latarnie! Wystarczy powiedzieć, że z końcem XIX w. poza statkami towarowymi w sezonie letnim przypluwało tu dziennie nawet po dziesięć wycieczkowych parowców (nie licząc wielkich prywatnych jachtów), cumujących przed budynkiem Jackman’s General Store. Dziś w tym miejscu stoi zwykle cudaczego kształtu kuter rybacki, dostarczający codziennie świeże okonie m. in. wspomnianemu wyżej panu Herbertowi i jego klientom. Praktycznie wszyscy oni (mowa o klientach!) rekrutują się z dość sporego tłumu turystów, którzy od wielu już lat upodobali sobie to miejsce na letni – lub choćby weekendowy pobyt. Jedni ciągną tu potężnymi *truckami* z przyczepami wielkości wozu cyrkowego, inni – wielkimi, trójosiowymi *camperami*. Znaczna ich część pochodzi z grona żeglarzy, przybywających do tutejszego portu z całych Wielkich Jezior mniejszymi (to rzadziej) i większymi (częściej!) łódkami, na żaglach (no, czasem...) i na silnikach (o, tak!). A często i luksusowymi jachtami błyszczącymi chromem i miedzią, tak wielkimi, że ledwo mieszczą się przy kejach trzech funkcjonujących tu marin. Miło nam było niesłychanie stać z nimi wszystkimi w jednej dłuuuugiej kolejce do budki pana Herberta po porcję *fish and chips*. I dyskutować o prawdziwej, amerykańskiej (kanadyjskiej?) demokracji!

Do Killarney przyjeżdża się jednak nie dla smażonej ryby. Znajduje się tu siedziba Killarney Provincial Park (odpowiednik parku narodowego, lecz powoływane go i zarządzane na poziomie prowincji, tu: Ontario). Poza funkcjami związanymi z ochroną przyrody Park pełni rolę koordynatora turystyki na tych terenach, nadzoruje szlaki turystyczne i ruch na nich. Organizuje również szereg przedsięwzięć o charakterze edukacyjnym, zarówno dla dorosłych, jak i dla dzieci: prelekcji, konkursów, wycieczek edukacyjnych itp. Od szeregu lat Killarney nie „zasypia” nawet w zimie! Przyjeżdża się tu na turnieje hokeja i na zawody curlingowe. Popularne są wycieczki na nartach i raketach śnieżnych oraz dalekie wyprawy skuterami śnieżnymi – nawet po skutych lodem wodach Georgian Bay na odległą wyspę Manitoulin. Ukoronowaniem zimowych szaleństw jest Winter Carnival, organizowany w pierwszy weekend lutego.

Siedzimy na nabrzeżu, tuż obok starego sklepu Jackmana (obecnie: Pitfield's General Store) i spożywając niespiesznie nasze rybki obserwujemy otoczenie. Czasem dostojnie przesunie się biały jacht, czasem przemknie parę skuterów wodnych. Na trawniku spokojnie skubie trawę stadko gęsi. To bernikle kanadyjskie – ładne, ale okropnie zanieczyszczają plażę! Tu są symbolem Kanady,



Bernikle kanadyjskie

natomiast w Europie znalazły się w pierwszej setce najgroźniejszych gatunków inwazyjnych. Na starym pomoście u naszych stóp ruch: pojawiła się rodzinka wydr, mama i trójka młodych. Zapewne dobrze im się tu wiedzie w sąsiedztwie rybackiego kutra! Baraszkuje, zupełnie nie zwracając na nas uwagi. A my możemy tylko żałować, że aparaty fotograficzne zostały w samochodzie.

Dyskutując o walorach turystycznych Killarney wracamy do naszego motelu. Ustalając plany na kolejny dzień przeglądamy oferty: szereg krótszych i dłuższych szlaków o charakterze naszych ścieżek dydaktycznych, zapoznających z przyrodą i historią tego wyjątkowego terenu. Co wybierzemy? O tym w następnym odcinku „Globtrotera”.

Miroslaw J. Barański

Przy grobie Awicenny

Kim był Awicenna – powinien to wiedzieć przeciętnie kulturalny Polak (są ulice jego imienia w naszych miastach), nie mówiąc o Europejczykach i narodach Bliskiego oraz Środkowego Wschodu (oczywiście azjatyckiego). Na wszelki jednak wypadek przypomnijmy.

Ten wielki człowiek, światowego formatu (mierząc dzisiejszą skalą), nazywał się właściwie Abu Ali Husain ebn Abdallah Ebn-e Sina lub krótko Ibn Sina, jako że pochodził z arabskiej rodziny żyjącej w Tadżykistanie. Stąd niektórzy uważają go za Tadżyka. Miejsce urodzin – Buchara (980 r.) w obecnym Uzbekistanie, skłania innych do pochodzenia uzbeckiego. Był geniuszem intelektu – tylko tak wypada go nazwać, którym błysnął jako nastolatek. Zajmował się filozofią łącząc dorobek starogrecki z arabskim, geologią, wielkie sukcesy – praktyczne i teoretyczne, w zakresie lecznictwa przysporzyły mu przydomek „ojca nowoczesnej medycyny”. Stał się autorem około 450 prac, w tym wielkich dzieł monograficznych. Działając w różnych miejscach, pod koniec życia osiadł w Ekbatanie – wtedy jednym



z najważniejszych miast między Morzem Śródziemnym a Indusem. Tam też zmarł w 1037 r.

Obecnie miasto to znajduje się w Iranie, 400 km na południo-zachód od Teheranu, i nazywa się Hamadan. Współcześni doceniają wielkość Awicenny i jego wkład w rozwój cywilizacyjny. Grób więc filozofa – lekarza znajduje się w wielkim poważaniu od samego początku, choć różnie on wyglądał. W ostatnich latach władze miejskie postanowiły jeszcze bardziej to miejsce uświetnić. Powstała więc nowoczesna, chyba jednak mało estetyczna, budowla o prześwitowym szpicu. W rotundzie poniżej znajduje się płyta nagrobna ze stosownymi tekstami arabskimi, wpuszczona w marmurową posadzkę i otoczona barierką. Jest tu też niewielkie muzeum z ekspozycją publikacji, rysunków i dużym portretem tego wielkiego człowieka. Z boku, oszklony, stoi stary sarkofag, w którym on spoczywał. Nowego nie widać. To poruszające zetknięcie się z aurą postaci, która jednakowo wiele znaczy zarówno dla ludzi Wschodu, jak i Zachodu. Iran jest bliższy nam niż to się wydaje... Jeśli tylko nie słuchać telewizji.

Krzysztof R. Mazurski



Madera

O Maderze rozmyślałam już od dość dawna, mam sporą grupę znajomych, którzy już tam wcześniej byli i, krótko mówiąc, zarazili mnie nią. Wylądowaliśmy na tej kwitnącej, subtropikalnej wysepce w połowie czerwca. Jeszcze na długo przed wyjazdem przeczytałam o Maderze prawie wszystko. Miałam nawet pewne obawy, czy coś mnie tam jeszcze nie zaskoczy? Otóż żadna wiedza z przewodników, internetu i innych publikacji nie zastąpi bowiem nigdy tego, co można zobaczyć na własne oczy, a zachwyciło mnie wszystko, przede wszystkim ZIELEŃ, niesamowite kwiaty, tropikalne nieznane nam rośliny, szal kolorów i zapachów, fantastyczne widoki za każdym zakretem i wspaśniały klimat, który nie męczy, nie pali, nie powoduje siódmych potów, a jednocześnie jest bardzo przyjemnie ciepły. Był on zawsze bardzo przyjazny człowiekowi, nie na darmo kiedyś przybywali tu znani i zamożni ludzie na różne kuracje i dla podreperowania zdrowia, wizytowali wyspę m.in. marszałek Józef Piłsudski, cesarzowa Austro-Węgier Sissi, Ernest Hemingway, Winston Churchill i nawet słyszałam, że i polski król Władysław III Warneńczyk wcale nie zginął pod Warną, tylko „załapał się” na jedną z wypraw krzyżowych i poprzez klasztor św. Katarzyny na Synaju uciekł na Maderę, dokonując tu żywota pod zmienionym nazwiskiem i z nową, tutejszą żoną. Nie wiemy na pewno, czy tak było, ale jeśli tak, to ja mu się nie dziwię. Gdybym mogła, chętnie rzuciłabym wszystko w diabły i też tu uciekła!

Funchal – piękna maderska stolica i jednocześnie największe miasto na wyspie, jest na tyle ciekawe, że warto poświęcić mu osobny opis. Lądowanie na wyspie mieliśmy, na szczęście, miękkie (i nawet na kołach po dość długim, blisko siedmiogodzinnym locie). Pierwsze widoki tuż przed nim ukazują RAJ! Jest tak cudnie, że aż kręci się łezka w oku. Już samo lądowanie jest przeżyciem, bowiem pas lotniska usytuowany tuż nad oceanem należał jeszcze do niedawna do jednych z najmniejbezpieczniejszych lotnisk na świecie. Zdarzały się tu bowiem kiedyś wypadki lotnicze polegające na tym, że... zabrakło pasa i samolot, jak miał szczęście, to lądował wprost w głębiny Atlantyku, a jak miał go mniej, to jeszcze po drodze rozbijał się o gigantyczne skały tuż za pasem, aby za moment zatonać w czarnych wodach oceanu. Brzmi to jak jakiś horror, ale tak ponoć bywało przed laty. Oczywiście duże samoloty pasażerskie wtedy nie mogły tu lądować, bo dla nich ów pas był znacznie za krótki i po prostu nie zmieściłyby się. Podróż odbywano kiedyś najpierw do Lizbony, a stamtąd statkiem płynąc 1000 km w stronę południa – trwało to dość długo, co mocno ograniczało rozwijający się na Maderze ruch turystyczny – głównie z Anglii, ale tak było aż do chwili, kiedy rząd Portugalii (Unia Europejska) włożył astronomiczne pieniądze w przedłużenie pasa startowego, na który nie było miejsca, więc zaprojektowano pas nad oceanem na kilkuset gigantycznych betonowych słupach. Przebiega pod nim fragment autostrady Via Rapids. Mimo że na tak przedłużonym pasie boeingi mieszczą się już bez problemu, to jednak widok z okna samolotu, podchodzącego do lądowania wprost z morza na ten pas, przyprawia o lekkie drżenie, czy aby na pewno trafimy. Już pierwsze wrażenie wprawia w osłupienie, bowiem wychodzi się wprost na płytę lotniska i dosłownie łązi się między kołami



samolotów, a „ruchem pieszych” kieruje umundurowana i uśmiechnięta pracownica lotniska. Nie ma tu żadnych busików ani rękawów, bo na to jest zbyt mało miejsca, a samoloty stoją jak samochody na parkingu, „tylują” wprost na pas w kilka minut i szybko startują, aby zdążyć wzbić się w powietrze tuż przed końcem pasa.

Stolicy Madery położona jest amfiteatralnie w otoczeniu zielonych wzgórz, od południowej strony otwarta na ocean. Stojąc na dole miasta przy promenadzie i patrząc w stronę gór, widzimy przepiękne stoki usiane białymi domkami, domeczkami z czerwonymi dachówkami, wygląda to wszystko czarująco! Pierwszego dnia wyruszyliśmy na mały rekonesans najbliższej okolicy. Do centrum było 2 km, jednakże zupełnie inaczej przelicza się tu odległości ze względu na spore stromizny ulic. Przez najbliższy tydzień przekonaliśmy się, że na Maderze, oprócz promenady w Funchal, nie ma zwykłych płaskich powierzchni! Tutaj wszędzie i zawsze jest i już będzie pod górę lub z górki, mniej lub bardziej stromo, a o przyjemnych, płaszczykowych jak stół ścieżkach czy chodnikach można zapomnieć. Dla wytrwałych piechurów nie jest to zbyt męczące, bo po 1-2 dniach takiego „wspinaczkowego marszu” nabiera się już takiej wprawy i kondycji, że nie stanowi to większego problemu.

Po spacerze promenadą i pierwszym zachłyśnięciu się widokami wjechaliśmy kolejką linową na wzgórze Monte (drogo, ale warto), aby na kilka godzin zatopić się w czarodziejskich ogrodach tropikalnych *Monte Palace Tropical*. To chyba najpiękniejszy i najbardziej tajemniczy na wyspie. Główną atrakcją jest dość ekscentryczny ogród. Historię powstania tego wspaniałego miejsca można przeczytać w przewodnikach, od siebie dodam, że miejsce to zrobiło ogromne wrażenie. Cały teren położony jest tarasowo, stąd mnóstwo tu schodów i „tematycznych” zakątków, obsadzonych mieszanką miejscowych gatunków leśnych oraz egzotycznych roślin sprowadzonych ze stref tropikalnych całego świata. Znajdziemy tu malownicze stawy i jeziora pełne barwnych karp i rybek koi, łabędzi, dzikich kaczek; jest tu mnóstwo fontann, wodospadów, kaskad, strumyków, grot i orientalnych pawilonów wtopionych w bujną zieleń. W ogrodzie rozmieszczono mnóstwo *azulejos* – pięknych, ceramicznych obrazków ze scenkami rodzajowymi, znajdziemy tu też kolorowe posągi wojowników chińskiej dynastii Qin, będące kopią tych z Terakotowej Armii z Xian. Również między pięknymi roślinnymi okazami znajdziemy posągi Złotego Buddy, egipskie wazy, greckie amfory, japońskie świątynie i inne azjatyckie elementy małej architektury, mnóstwo współczesnych rzeźb, masek itd. Wszystkie te elementy mogą sprawić wrażenie chaosu i tworzyć obraz nieco kiczowaty, powodujący miszmasz i groch z kapustą, ale nam to zupełnie nie przeszkadzało. Ba! Nawet nam się podobało. Jest to wszystko tak sprytnie skomponowane, że i tak dominujący element, na którym skupiamy uwagę, stanowi zieleń i tropikalna roślinność – więc te wszystkie rzeźby i azjatyckie akcenty nie powodują oczopląsu, tylko wprowadzają aurę tajemniczości i przełamują wręcz monotonię wszechobecnej zieleni. Jeśli spojrzymy na to miejsce nie jak na pierwotny, naturalny las, tylko jak na celowo zaaranżowaną ogrodową przestrzeń, to wtedy docenimy starania autorów i pomysłodawców tego dość ekscentrycznego, jednakże niesamowicie pięknego miejsca.

Powyżej ogrodów Monte Palace znajduje się bardzo ważny dla maderyjczyków kościół Nossa Senhora del Monte, z którego rozpościera się piękny widok na miasto. Pod koniec XIX w. Madera stała się dla północnoeuropejskich elit ulubionym miejscem spędzania zimowych wakacji. Przybywali na nią także chorzy, ponieważ wierzono w uzdrawiający klimat wyspy. Kuracjuszy na szczyt początkowo wnoszono w hamakach, potem na metalowych siedzeniach lub wciągano wołami. Od 1912 r. działa prowadząca z Funchal na szczyt kolej zębata, którą zamknięto w 1919 r. po wypadku, któremu uległa. Krótka działała ona jeszcze na przełomie lat 30. i 40. Na szczycie wzniesiono klasztor Nossa Senhora de Monte. Zastąpił on stojącą od 1470 r. kaplicę, którą postawiono w miejscu, gdzie dzieci widywały Matkę Boską. Legenda mówi, że rodzice nie wierzyli w opowieści dzieci i ojciec postanowił podglądać je. Matki Boskiej co prawda nie zobaczył, ale znalazł figurkę ją przedstawiającą. Przechowuje się ją w klasztorze. Stała się patronką Madery. Do sanktuarium prowadzą 74 schody wykonane z drobnych kawałków czarnego bazaltu i 15 sierpnia, w święto Wniebowzięcia pokonywane przez pielgrzymów na kolanach. W Funchal w 1922 r. ostatnie chwile życia spędził Karol I Habsburg, ostatni cesarz Austrii i król Węgier (pochowany w kościele na Monte). Jego proces beatyfikacyjny rozpoczął się w 1949 r., a ukończony 3.10.2004 r. przez Jana Pawła II.

Cdn.
Elżbieta Lisiecka

Tatrzańskie Dwutysięczniki

Projekt „Tatrzańskie Dwutysięczniki” narodził się 20 października ub. r. podczas spotkania Klubu Górskiego „Wędrowcy”, działającego przy Hutniczo-Miejskim Oddziale PTTK w Krakowie. Uczestnicy tamtego spotkania bynajmniej nie myśleli o popularyzowaniu turystyki w Tatrach, bo przecież pasmo to tego nie potrzebuje. Kierowała nimi raczej idea rozproszenia turystyki i rekomendacja mniej popularnych celów tatrzańskich na takiej samej płaszczyźnie z tymi masowo odwiedzanymi.

Początkowo debata grupy projektowej toczyła się wokół koncepcji jednostopniowej odznaki przyznawanej za zdobycie wszystkich tatrzańskich dwutysięczników. Szybko jednak została ona porzucona. Wiadomo powszechnie, że tatrzańskie środowisko wysokogórskie stawia wysokie wymagania od sympatyków wędrowek, a rozpiętość występujących trudności technicznych jest znaczna w zależności od parametrów górskiego szczytu. Dla wielu wielbicieli Tatr satysfakcjonującym osiągnięciem jest już wejście na łatwiejszy technicznie dwutysięcznik o obłych, halnych zboczach. Nie każdy też ma predyspozycje czy też emocjonalną potrzebę zdobywania trudnodostępnych skalnych kulminacji na miarę np. Orlej Perci. Nikt nie chciałby nakłaniać do podejmowania wyzwań ponad posiadane możliwości, predyspozycje czy doświadczenie turystyczne. W zamyśle odznaka ma koronować przyjemność wędrowania szerokim rzeszom miłośników tatrzańskich szlaków, o różnym stopniu zaawansowania turystycznego. Zamyśl taki wyrażają trzy stopnie odznaki.

Pierwszy stopień odznaki jest osiągalny praktycznie dla każdego turysty. Wystarczy wejść na dwadzieścia dowolnie wybranych dwutysięczników dostępnych ze szlaków turystycznych. Istnieje wiele możliwości planistycznych w tym zakresie, pozwalających na zdobycie w ciągu jednego dnia spokojnej wędrowki nie jednego, a kilka dwutysięczników, np. wędrując



przez Czerwone Wierchy zaliczymy cztery dwutysięczniki. Gdyby komuś udało się zaplanować jeszcze cztery podobne trasy, obejmujące taką samą ilość dwutysięczników, to już po pięciu dniach może być zdobywcą brązowej odznaki „Tatrzańskie Dwutysięczniki”. Podkreślić jednak należy, iż projekt „Tatrzańskie Dwutysięczniki” w żadnym wypadku nie ma wymiaru sportowej rywalizacji. Nie można oczywiście nikomu zabronić tego, że zapragnie być pierwszym, drugim, trzecim czy najszybszym. Zawsze trzeba mieć to na względzie, że Tatry to nie tylko piki do zdobywania, ale również unikatowy w skali światowej zespół przyrody, wpisany do Światowego Rezerwatu Biosfery – godny zarówno uwagi, jak i poszanowania ze strony każdego odwiedzającego. Przypomina o tym projekt odznaki.

Na odznace widnieją wizerunki dwóch najwyższych tatrzańskich szczytów dostępnych ze szlaków turystycznych, reprezentujące terytoria dwóch narodów, które dzielą między siebie piękno Tatr:

po prawej pod słowacką flagą piętrzy się Krywań, zaś po lewej pod flagą polską wznoszą się Rysy. Szczyty te są tłem dla tatrzańskiej przyrody. Przed nimi mamy dwie szarotki alpejskie, roślina powszechnie uznawana za symbol Tatr. Powyżej tatrzańskich wierzchów wzbija się orzeł przedni – „To je honorny ptak! To je wirchowy ptak!” – powiedział o nim niegdyś Jan Krzeptowski Sabala. Ten niegdyś król tatrzańskich przestworzy został wyparty przez człowieka do ostatniego gniazdowiska. Chcielibyśmy, aby projekt „Tatrzańskie Dwutysięczniki” przypominał o tym, co niebawem może zniknąć z naszych wspaniałych Tatr... czy będą wówczas też takie wspaniałe? Całość ujęta jest w łagodnym zarysie owalu, symbolizującego harmonijną i symbiotyczną współzależność całej tatrzańskiej przyrody, która jest jak jeden organizm, a brak choćby jej jednego ogniwa wpłynąć może na unicestwienie innego. To istotne przesłanie szczególnie dziś, kiedy przyroda została tak bardzo zdominowana przez człowieka, dlatego wszystkich sympatyków Tatr zachęcamy do wszechstronnego spojrzenia na te jedyne w swoim rodzaju góry, z całych Karpat najwyższe sięgające niebu. Pokazujemy innym, nie tylko poprzez odznakę, jak być prawdziwym miłośnikiem gór, a nie ich pogromcą.

Regulamin odznaki wyznacza punkty, które zdobywać można tylko wyznaczonymi szlakami turystycznymi, przestrzegając przepisy obowiązujące po obu stronach granicy. Nie zawsze szlaki te są dostępne dla turystyki. Mogą być okresowo wyłączone ze względu na konieczność remontu. Po polskiej stronie niektóre szlaki są zamykane na okres zimowy. Z kolei po stronie słowackiej w okresie od 1 listopada do 15 czerwca zamykane są wszystkie szlaki powyżej schronisk (otwarte są jedynie szlaki dojściowe do czynnych schronisk). Oznacza to, że nie można wtedy przekraczać granicy państwowej w miejscu łączenia się polskich i słowackich szlaków. Wynikają z tego okresowe ograniczenia w możliwości dotarcia do wyznaczonych punktów szczytowych, a względy bezpieczeństwa są najważniejsze. Regulamin odznaki podchodzi do tych kwestii rygorystycznie oraz wymaga przestrzegania podczas wędrówek zasad bezpiecznego i racjonalnego uprawiania turystyki górskiej, a także prawidłowego poruszania się w obszarze transgranicznym oraz na terenach objętych ochroną parków narodowych, znajdujących się po obu stronach granicy. Mając na uwadze czasowe ograniczenia w dostępności szlaków, regulamin odznaki nie nakłada limitu czasu zdobywania dwutysięczników. Również czas funkcjonowania projektu nie został ograniczony, tak by każdy miał szansę w nim zaistnieć w dowolnym, dla siebie wygodnym czasie i terminie.

Organizatorzy projektu pozostawiają sporo swobody w sposobach poświadczania zdobywanych tatrzańskich dwutysięczników, dając jednocześnie szerokie możliwości w planowaniu tras wędrówek, które mogą omijać typowe punkty poświadczeń, czyli schroniska dysponujące stosownym stemplem (pieczętką). Zazwyczaj jednak schroniska położone są przy szlakach dojściowych prowadzących nierzadko do wielu punktów szczytowych zaliczanych do odznaki, stanowiąc właściwe miejsce do uzyskania stosowanego poświadczenia dla wszystkich tych punktów. Rozwiązanie takie opiera się oczywiście na zaufaniu do uczestników projektu (tak samo zresztą jest w przypadku wielu innych podobnych projektów, np. „koron” górskich). Udokumentowanie w postaci wykonanej fotografii, uwidaczniającej uczestnika i charakterystyczny element zdobytego szczytu lub przełęczy (np. przy tablicy z nazwą szczytu lub przełęczy) mogłoby być najbardziej wiarygodnym poświadczeniem, ale zrezygnowano z obligatoryjności takiego stosowania. Zakłada się, że każdy, kto zdecyduje się zdobywać szczyty w ramach projektu „Tatrzańskie Dwutysięczniki”, robi to dla siebie, a to, jak to zrobi, weryfikować będzie ostatecznie jego sumienie.

Każdego zdobywcę odznaki „Tatrzańskie Dwutysięczniki”, dowolnego stopnia, czeka Panteon Zdobywców, na którym będzie uwieczniony dla potomności – nie tylko z imienia i nazwiska, kraju i miejscowości zamieszkania, ale również poprzez prezentację wizerunku, o ile dostarczy stosowną fotografię (np. drogą mailową albo dołączając ją do książeczki odznaki przesyłanej do weryfikacji). Tatrzańskie Dwutysięczniki czekają na swoich zdobywców. Sympatyków tej inicjatywy zapraszamy do grupy dyskusyjnej otwartej na platformie FB pod nazwą „Tatrzańskie Dwutysięczniki”. Zachęcamy do dzielenia się doświadczeniem i wrażeniami z tatrzańskich szlaków. Niech Wam sprzyja pogoda, a czar Tatr niesie lekko po górskich szlakach.

Marek Szala

I Symposium Regionalnej Pracowni Krajoznawczej w Bukowcu

W ostatni dzień stycznia br. miało miejsce rzadko spotykane „wydarzenie”. Słowo to chyba najbardziej oddaje istotę sprawy. Otóż na mapie Polski, w czasie gdy wszędzie wszystko jest likwidowane, pojawiła się nowa jednostka mająca na celu działania w zakresie pozyskiwania, przechowywania i zachowania w pamięci tego wszystkiego, co dzieje się na danym terenie obecnie, jak i tego, co już minęło, a ulega zapomnieniu. Regionalna Pracownia Krajoznawcza Karkonoszy, utworzona przy Związku Gmin Karkonoskich, wpisuje się, dzięki stosownemu porozumieniu, w strukturę PTTK-owskich pracowni, których jest 23. Dzięki z kolei podpisanemu porozumieniu z Książnicą Karkonoską w Jeleniej Górze może i już prowadzi wspólne prace nad uzupełnianiem brakujących materiałów w zbiorach jeleniogórskiej biblioteki cyfrowej. Jest to możliwe dzięki pozyskaniu księgozbioru po istniejącej w Jeleniej Górze w zeszłym stuleciu podobnej jednostki.

Aby nie było nieporozumień, od razu wyjaśniam, że RPK to nie kolejna biblioteka; to miejsce, w którym oczywiście gromadzi się wszelkiego typu materiały związane z historią, kulturą, turystyką itp., ale jest to miejsce, w którym tego typu materiały będą także powstawać. To tutaj będą przychodzić, a właściwie już przychodzą, zarówno turyści, jak i osoby zainteresowane swoim miejscem zamieszkania, by porozmawiać, by dowiedzieć się czegoś nowego, by wymienić swoje myśli, by w końcu spotkać się z innymi i nie siedzieć w domach przy komputerach i nie narzekać, jak to jest im źle. Oczywiście będą tu organizowane co jakiś czas spotkania z ciekawymi ludźmi czy spotkania tematyczne. Dzięki temu stworzona zostanie możliwość pogłębiana swojej wiedzy.

Działania podejmowane przez RPK mają oczywiście w swoim podstawowym wymiarze promować region. Dzięki takim ruchom nie tylko jest on coraz lepiej postrzegany lokalnie, ale coraz bardziej i przez mieszkańców innych części Polski. Związek Gmin Karkonoskich jest niejako zobowiązany do podejmowania działań promujących gminy związkowe i dlatego też poprzez utworzenie takiej pracowni dostał do ręki kolejne narzędzie wspomagające realizację powierzonych mu zadań. Ważnym jest także to, że wszystko, co robi, wykonuje w ramach własnego budżetu.

Po pierwszym spotkaniu widzimy, że zainteresowanie tego typu działaniami jest spore. Na symposium, poświęcone Grzbietowi Lasockiemu, przybyło prawie 130 osób. Byli to mieszkańcy Żar, Lubania, Olszyny, Szklarskiej Poręby, Piechowic, Karpacza, Kowar, Jeleniej Góry, Kamiennej Góry, Witkowa Śląskiego, Szczawna, Wałbrzycha, Strzegomia, Wrocławia, a nawet Warszawy. Na pewno wpływ na frekwencję miał sam temat, jaki chcieliśmy poruszyć, ale przede wszystkim nazwiska zaproszonych prelegentów. Wszak są to uznani fachowcy w swoich dziedzinach. Dzisiejsi studenci często korzystają z ich książek.

Bardzo pozytywnie zaskoczył prof. Michał Mierzejewski, który o tak trudnej dziedzinie, jaką jest geologia, potrafił opowiadać tak przystępnie, iż nie było w sali kogoś, kto nie zrozumiałby tematu. Poza tym, co rzadko zdarza się podczas takich spotkań, kilkakrotnie jego sposób prezentacji był na tyle żartobliwy, że rozbrzmiewały salwy śmiechu. I był to śmiech aprobaty. Równie ciepło uczestnicy spotkania ocenili występ prof. Marka Malickiego, opowiadającego o florze Grzbietu Lasockiego. Nie spodziewali się tak ciekawie zaprezentowanej wiedzy i takiego jej zasobu. Z kolei prof. Krzysztof R. Mazurski, jak zwykle, zaprezentował konkrety. To dzięki jego dociekliwości dowiedzieliśmy się, że





zgodnie z polskim prawem Grzbiet Lasocki nie jest częścią Karkonoszy. Oczywiście jest to tylko podejście prawne i należy je jak najszybciej zmienić. Wszystkie bowiem inne dziedziny nauki prowadzą do zupełnie innego wniosku. Podczas spotkania mieliśmy okazję zapoznać się z referatem prof. Piotra Migonia, który wygłosiła współautorka mgr Roksana Knapik z KPN, oraz dr. inż. Andrzeja Raja, który jako dyrektor KPN miał zaszczyt reprezentować Polskę na Światowym Kongresie Parków Narodowych w Sydney.

Dodatkowo wystąpił Krzysztof Korzeń, dyrektor Biura Fundacji Dolina Pałaców i Ogrodów. Przedstawił on dotychczasowe jej dokonania oraz to, co dzieło się w ostatnim okresie. Poinformował także o planach na najbliższy czas. Z kolei Sandra Nejranowska zapre-



zentowała wydawnictwo AD REM z Jeleniej Góry. To, że wydawane przez nie publikacje są chętnie czytane, widać było po kolejce, jaka wciąż utrzymywała się przy stoisku.


Całość spotkania poprowadzili Witold Szczudłowski i piszący te słowa.

Na koniec muszę podzielić się jeszcze informacją, że w spotkaniu wzięło udział około trzydziestu przewodników sudeckich, którzy w ten sposób chcieli poszerzyć swoją wiedzę, a na uroczystości otwarcia pracowni była kierowniczką RPK we Wrocławiu Anna Rotko. Niektórzy z gości przynieśli podarunki, którymi oczywiście były ciekawe publikacje z ich domowych bibliotek. Bardzo miłym akcentem było przekazanie do księgozbioru tomiku wierszy „W srebrze jaśminów” Krystyny Sławińskiej z Lubania. Autorka umieściła w publikacji stosowną dedykację.

Wszystkim dziękujemy!

Krzysztof Tęcza

Foto: Anna Tęcza



**Oferta wydawnictw
turystyczno-krajoznawczych
wydanych przez
Oddział Wrocławski PTTK**

Emil Krebs – śląski geniusz

W środę 4 lutego br. w siedzibie jeleniogórskiego oddziału Archiwum Państwowego we Wrocławiu zostało zorganizowane spotkanie z Margrit i Eckhard Hoffmannami. Pan Eckhard opowiedział o Emilu Krebsie, bracie jego dziadka. Ten urodzony 15.11.1867 r. w Świebodzicach człowiek zapisał się w historii Śląska jako geniusz. Nie znamy drugiej takiej osoby na jego terenie. Opanował on biegle 68 języków, zaś posługiwał się 111. Przynajmniej w tylu językach posiadał w swojej domowej bibliotece książki.

W 1870 r. Emil trafił do miejscowości Opoczka w pow. świdnickim. Tam też zaczął swoją naukę. W latach późniejszych uczęszczał do Szkoły Realnej w Świebodzicach i Gimnazjum Ewangelickiego w Świdnicy. Pierwszym językiem obcym, z jakim miał do czynienia, był francuski. Gdy w 1887 r. zdawał maturę, posługiwał się już 12 językami. Nic więc dziwnego, że kontynuując naukę na uniwersytetach we Wrocławiu (teologia i filozofia) i Berlinie (nauki prawne) równolegle uczęszczał do Seminarium Języków Orientalnych, gdzie zgłębiał tajniki jęz. chińskiego.

W 1891 r. Krebs zdał pierwsze egzaminy prawnicze pozwalające na pozyskanie stanowiska aplikanta sądowego przy królewsko-pruskim Sądzie Okręgowym w Boguszowie-Gorcach. Rok później został aplikantem Sądu Najwyższego w Berlinie. Zaraz jednak został wysłany do Chin, gdzie pełnił obowiązki tłumacza Niemieckiego Poselstwa w Pekinie. Tam też wstąpił w związek małżeński z Amandą Heyne, z domu Clasewald. Ślub wzięli oni w Szanghaju i 7.02.1913 r. wyruszyli w podróż poślubną trwającą niemal dwa miesiące. W 1917 r. miało miejsce zerwanie stosunków dyplomatycznych między Chinami a Niemcami (I wojna światowa) i Emil Krebs wrócił do kraju, gdzie o dziwo! nie było zapotrzebowania na jego usługi. Dopiero w 1923 r. został zatrudniony w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, gdzie pracował do śmierci w 1930 r.



Emil Krebs. Fot. wikipedia.pl



Zanim pochowano na Cmentarzu Południowo-Zachodnim w Stahnsdorf (koło Berlina) doczesne szczątki Krebsa, pobrano do celów badawczych jego mózg. Badania przeprowadził prof. Oskar Vogt, kierownik Instytutu Cesarza Wilhelma do Badań Mózgu w Berlinie. Ponowne badania przeprowadzono w Centrum Badań nad

Mózgiem w Jülich. Dokonała tego prof. Katrin Amunds. Tak jak poprzednie, potwierdziło ono, że właściciel takiego mózgu musiał być geniuszem językowym. Po prostu nie miał innego wyjścia.

Niestety, Emil Krebs, jak to w życiu bywa, nie był wynagradzany w takim stopniu, na jaki zasługiwała jego wiedza. Dlatego też stale cierpiał na niedobór środków finansowych. Co prawda, w okresie „bezrobocia” otrzymywał wsparcie od przemysłowca Gustava Kruppa z Essen, jednak w ostatecznym rozrachunku wdowa po nim nie była w stanie utrzymać mieszkania, a tym bardziej sporej biblioteki, jaką pozostawił jej mąż. Dlatego wystawiła je na sprzedaż, zaznaczając jednak, że chce oddać w całości. W 1932 r. zbiór nabyła Amerykańska Biblioteka Narodowa w Waszyngtonie. Najcenniejszą część, złożoną z chińskich pism, wydzielono i umieszczono w Gabinetie Rarytasów w Budynku Jeffersona.

Takich ludzi, jak przedstawiany powyżej bohater, jest niezwykle mało, postanowiono zorganizować o nim specjalną wystawę. Do swego pomysłu Eckhard Hoffmann przekonał pracowników Miejskiej Biblioteki Publicznej w Świdnicy i dzięki wspólnym wysiłkom powstała wystawa „Emil Krebs. U granic geniuszu”. Zarówno materiały na wystawę, jak i spotkanie bardzo zrećźnie tłumaczył Sobiesław Nowotny ze Świdnicy. Na otwarciu przybył dyrektor Archiwum Państwowego we Wrocławiu Janusz Gołaszewski oraz m.in. Alicja Raczek (Książnica Karkonoska), Kazimierz Stąpór (Biblioteka Karkonoskiej Państwowej Szkoły Wyższej), Stanisław Firszt (Muzeum Przyrodnicze) czy Czesław Margas – nestor polskiej archiwistyki. Obecni byli także słuchacze studiów germanistycznych KPSW w Jeleniej Górze wraz z wykładowcą Józefem Zapruckim.

Wystawa będzie udostępniana w godzinach pracy Archiwum Państwowego we Wrocławiu Oddział w Jeleniej Górze.

Serdecznie zapraszamy!

Krzysztof Tęcza

Wyniki konkursu fotograficznego

W dniu 31. stycznia br. w siedzibie Zarządu Głównego PTTK przy ul. Senatorskiej w Warszawie odbyło się podsumowanie konkursu fotograficznego **Turysta senior**. Wpłynęło ogółem 66 prac nadesłanych przez 12 autorów, z czego 46 zdjęć do kategorii „Człowiek w krajobrazie” oraz 20 zdjęć do kategorii „Z rodziną na szlaku”.

Jury w składzie:

Piotr Machlański – kierownik RPK PTTK w Łodzi,

Wilhelm Szarżanowicz – Instruktor Fotografii PTTK,

Paweł Wojtyczka – starszy kustosz CFK PTTK, Instruktor Fotografii PTTK,

postanowiło przyznać następujące nagrody i wyróżnienia:

Kategoria „Człowiek w krajobrazie”

I miejsce: Jan Kamiński za zdjęcie „Na połoninie ciągle ciekawie”,

II miejsce: Anna i Marek Łebzuch za zdjęcie „Przed grotą św. Huberta”,

III miejsce: Marcin Kuźnik za zdjęcie „Nordic po łódzku”;

Kategoria „Z rodziną na szlaku”

W tej kategorii Jury postanowiło przyznać tylko dwa równorzędne wyróżnienia:

Tadeuszowi Pudełko za zdjęcie „Zawoja” oraz Janowi Kamińskiemu za zdjęcie „Razem – zawsze weselej”.

Nagrody w imieniu Komisji Fotografii Krajoznawczej ZG PTTK wręczył jej przewodniczący Jerzy Maciejewski.

Zanim wyruszysz itd...

Wiele rozmaitych tekstów poradniczych, szkoleniowych, instruktażowych zaczyna się taką właśnie oklepaną frazą: „**zanim wyruszysz** – w tym przypadku – **w góry**”. Tym razem i ja tak zacznę. Zanim wyruszysz w góry, przygotuj się. Kolejny raz będę przynudzał pisząc o tym, o czym podobno wszyscy wiedzą. Tak naprawdę, wędrowanie zimą po górskich, ale i nizinnych szlakach różni się od turystyki w innych porach roku w szczegółach, choć z pozoru to niby to samo. Otóż nie, to nie jest to samo. Właśnie szczegóły grają wielką rolę, mogą decydować o powodzeniu wycieczki, o zdrowiu, a nawet o życiu turysty. Zatem będzie o kilku szczegółach, głównie o szczegółach wyposażenia.

„A” – jak adrenalina. Choć nikt jej nie widział, to jest zupełnie jak prąd elektryczny. Czy ktoś widział prąd? Nie trzeba jej pakować do plecaka, pojawia się w chwilach szczególnych, zwłaszcza w trudnych warunkach, kiedy turysta szuka oparcia dla nogi lub dobrego chwytu, gdy wokół noc, a skończy się prąd w bateriach czołówki, gdy zapada zmrok, a wiatr nie pozwala rozstawić namiotu. Można się wtedy zgrzać, choć mróz tęgi. Tak działa adrenalina. Jak wspomniałem, nikt z nas nie widział adrenaliny, która przeważnie pomaga turyście w trudnych chwilach. Poza nią jest wiele przedmiotów całkiem widzialnych i stanowiących nie tylko o wygodzie, często o bezpieczeństwie turysty. Było już o bateriach w latarce, no to teraz coś z życia.

„B” – jak baterie, i „C” – jak czołówka. Zdarzyło się, że do Zawoi dotarliśmy gdzieś około godz. 14.30 z zamiarem dojścia na Markowe Szczawiny. Nic trudnego, prawda? Tylko że było to 30. grudnia i pełne zachmurzenie. Na plecach dość dużo „towaru”, było to w czasach, gdy biwakowało się na Kolistej Polanie, więc mieliśmy kompletny sprzęt biwakowy, żelastwo i jedzenie na kilka dni. Mało to nie ważyło, tempo marszu było dość wolne. Wyszliśmy na czarny szlak gdzieś około godz. 15. Ponieważ śniegu nie brakowało, to mimo braku słońca było dość jasno. Do czasu. Tej jasności starczyło do granicy lasu. Gdy wyszliśmy ponad łąki i pola, było już ciemno, ale można było iść, wszak szlak wiedzie długim prostym odcinkiem. Jednak mimo śniegu ciemność okazała się dokuczliwa. Ech, gdyby tak jakiś księżyc. Ale księżyc nie było. Postanowiliśmy założyć czołówki, wszak przed nami jeszcze spory kawał drogi. Tempo było dwukrotnie wolniejsze od letniego. Dotarliśmy do schronu turystycznego, zdjęli plecaki i... dawaj szukać czołówek, tylko jak znaleźć latarkę po ciemku? Niczego nie było widać w tych plecakach, a grzebanie po omacku mogło się skończyć wysypaniem części zawartości plecaka. Jedną latarkę nawet udało się wykopać, tyle że nie chciała świecić. Co się stało? Po prostu włączyła się w czasie podróży i baterie wyczerpały się oddając prąd przez kilkanaście godzin. Przeciągający się postój powodował, że mróz zaczął dawać się we znaki, postanowiliśmy iść dalej bez światła. Szliśmy trochę po omacku, bardziej wyczuwając niż widząc „ścieżkę”, czyli wgłębione w śniegu przejście. Pomagałem sobie trzymanym przed sobą czekanem, jak niewidomy laską. Powiem szczerze, nic przyjemnego taki spacer. Wniosek? Jest i wniosek. Jesienią i zimą latarkę trzymam w wewnętrznej kieszeni anoraka, latem w bocznej kieszeni plecaka, ale na samym wierzchu. Latarka trzymana „przy ciele” nie jest tak narażona na niską zewnętrzną temperaturę, jak niesiona w plecaku. Dzięki temu baterie nie tracą energii. Współczesne czołówki mają poza tym tak zbudowane wyłączniki, że samostne włączenie i niekontrolowane wyczerpanie baterii na skutek niepotrzebnego ciągłego świecenia raczej nie powinno się zdarzyć. To wniosek praktyczny dla tych, którzy biorą ze sobą na szlak latarki, a ilu jest turystów idących w góry bez światła? Wbrew dziesiątkom informacji o takich przypadkach i turystach sprowadzanych przez GOPR i TOPR takich sytuacji wcale nie ubywa.

„G” – jak GPS. Urządzenie nawigacyjne może być pomocne, ale w żadnym wypadku nie zastąpi rozsądku i wiedzy o terenie. Kroniki ratownictwa notują co prawda odnalezienie turystów „zagubionych” na Świnicy, jednak zachodzi domniemanie, że młodzieńcy chcieli sprawdzić, czy urządzenie działa prawidłowo i czy namiary podane toprowcom okażą się precyzyjne. Poza tym, to tylko urządzenie, może zawieść.

Jeszcze „G” – jak gogle. Niekoniecznie „wypasione” i markowe, zapewniające narciarzowi doskonałą widoczność przy szybkości 200 km/godz. Najzwyklejsze, choćby z supermarketu, ale dobrze przylegające do twarzy gogle mogą okazać się niezbędne w wyższych partiach Beskidów na odkrytym terenie, nie tylko na kopule Pilska czy grzbiecie Babiej Góry. Silny wiatr, niosący drobinki zmrożonego śniegu skutecznie uprzykrza wędrówkę. Uderzenia tych drobinek w powieki jest bolesne, zmusza do mrużenia i zamykania oczu. To może się zdarzyć na gorczańskich polanach czy na bieszczadzkich połoninach, albo w drodze na Śnieżkę. Osłona oczu jest wtedy niezbędna.

„H” – jak herbata. Jest niezastąpiona i zimą powinna być w dobrym termosie. Warto przymknąć oko na zabójcze działanie cukru i dobrze posłodzić. Może realnie polepszyć samopoczucie i dodać sił w ciężkich chwilach, choćby na przymusowym biwaku czy podczas czekania na pomoc. Miły zwyczaj dodawania rumu przydaje aromatu, ale jest to wskazane już raczej w schronisku, nie zaś na szlaku. Uwaga: nie powinno się wypijać wszystkiego, co mamy w termosie przed dojściem do schroniska, zawsze powinna być zostawiona jakaś rezerwa.

„K” – jak kije turystyczne. Z perspektywy wielu zimowych wypadów w góry jestem przekonany, że znacznie pomagają w marszu, czy to w głębokim śniegu, czy na twardym i zmrożonym. Latem niezastąpione przy przechodzeniu wielkich piarżysk – choćby w Dolomitach. Oprócz tego mogą posłużyć do innych celów: jako usztywnienie złamanej kończyny, jako szkielet prowizorycznego schronienia, jako element zabezpieczenia poszkodowanego przed osunięciem się itp. Trzeba o nie dbać, po przybyciu do schroniska lekko rozkręcić, by wyschły, nie zakręcać zbyt mocno.

„L” – jak lina. Używanie liny nie jest powszechną czynnością naszych turystów, zresztą nikt się tego nie uczy poza członkami klubów wysokogórskich. Bardziej zaawansowani turyści posługują się liną. Może się przydać na graniowych szlakach Tatr Zachodnich, oczywiście w Wysokich. Nie chodzi tu o jakąś ścianową wspinaczkę, ale o stromszy i eksponowany teren. Tu uwaga: nieumiejętne posługiwanie się liną, podobnie jak innym sprzętem zimowym, może być przyczyną nieszczęśliwego wypadku.

„M” – jak mapa. Choć wydaje się to niemożliwe, wciąż trafiają się „turyści” idący w góry bez mapy [to jest powszechne! – red.]. Niektórzy uważają, że znają je tak dobrze, że żadna mapa nie jest im potrzebna, inni, że wystarczą znaki szlaków, jeszcze inni w ogóle nie przejmują się takimi drobiazgami, jak orientacja w terenie. Znam wielu turystów doskonale znających góry, w które się wybierają i zawsze zabierają dobre, aktualne mapy. Najlepiej wzorować się właśnie na nich. Uzupełniającym gadżetem może być kompas. Zima eksponuje jedne elementy terenu, inne maskuje, więc dla orientacji i kompas może się przydać.



Raki regulujemy przed wyjazdem w góry, ponieważ...

„R” – jak raki. Są coraz częściej używane przez naszych turystów i to nie tylko w Tatrach. W sklepach kupimy zwykle – paskowe i „automaty”. Te pierwsze założymy na każde buty, drugie wymagają buta z odpowiednią podeszwą. Takie czy inne, wymagają dobrego dopasowania do buta, nie mogą na nim być luźno. Za luźno założone mogą się przemieszczać na boki, a nawet zsunąć się z buta. To grozi potknięciem i dotkliwym upadkiem. Pół biedy, jeśli w łatwym i nieeksponowanym terenie, gorzej, gdy na stromym zboczu, w żlebie, na grani, jakiejś



...podobne czynności w terenie SĄ trudne

nopalczaste, także kryte wodo- i wiatroodpornym materiałem. Zawsze powinna być jedna para rezerwowa. Przy niewielkim mrozie wiele czynności można wykonać gołymi rękami, przy większym mrozie i na wietrze już nie. Zgrabiące palce i niemożność wykonania prostych czynności, jak choćby wyciągnięcie śpiwora, pozwalającego przetrwać w oczekiwaniu na pomoc, już nieraz skutkowało tragicznie.

„S” – jak szalo-kominiarka bądź kominiarka. To doskonała ochrona szyi i głowy. Powinno się zakładać pod zwykłą czapkę. Podwójna ochrona jest skuteczna nawet przy silnym mrozie i wietrze. W szczególnie trudnych warunkach ochronę głowy uzupełniamy kapturem anoraka (kurtki).

„T” – jak telefon komórkowy. Jak już kilka razy pisałem, może uratować życie, jednak pamiętajmy, że nie wszędzie jest zasięg, nie zawsze dodzwonimy się do służb ratunkowych. W miarę możliwości trzeba podładować w schronisku, żeby nie stracić zasilania w chwili, gdy trzeba wezwać pomoc.

„W” – jak wazelina. Nie chodzi tu o synonim lizusostwa, tylko o zwykłą wazelinę kosmetyczną. Chroni dłonie, a przede wszystkim skórę twarzy lepiej niż różne kremy „dedykowane” narciarzom, turystom, sportowcom i komu tam jeszcze. Tubka lub słoiczek wazeliny zabrany na wyprawę przyda się do posmarowania twarzy, ale i butów.

„Z” – jak zapalki lub zapalniczka. To nie tylko atrybut palaczy. Warto je mieć w kieszeni, nawet jeśli nie używamy kuchenki i korzystamy ze schroniskowego menu. Gdy zawiedzie technika, jedynym sposobem wezwania pomocy może okazać się podpalenie mapy czy rozpalenie ogniska, które także pozwoli przetrwać.

Juliusz Wyślouch

Magazyn turystyczno-krajoznawczy

NA SZLAKU

**Polub nas
na Facebooku!**

Kolekcjonerstwo krajoznawcze w PTTK

Zbieractwo, a bardziej zaawansowana jego forma – kolekcjonerstwo, w ciągu ostatnich lat staje się przedmiotem zainteresowania wielu ludzi, jest więc ono zjawiskiem społecznym. Ruch ten w Polsce ma kilkusetletnią tradycję. Jego początków można doszukiwać się w pałacach królewskich i magnackich. Z czasem zainteresowania te zataczały coraz większe kręgi, w epoce Oświecenia objęły postępowych ludzi pióra, a w XIX w. mieszczaństwo oraz inteligencję. Dalszą demokratyzację tego ruchu zauważa się w XX w. W latach powojennych zaistniały sprzyjające warunki, aby te szlachetne i humanistyczne dążenia człowieka stały się dostępne dla całego społeczeństwa. Fundamentalna przesłanka gromadzenia przedmiotów wynika m.in. z ludzkiego instynktu posiadania, rozbudza też chęć poznania i jest formą przedłużania pamięci o przeszłych pokoleniach, a także zapewnienia jej w nowych generacjach.

W Polsce mamy wiele szczytnych przykładów. **Księżna Izabela Czartoryska** w 1801 r. otwiera w Puławach „**Świątynię Pamięci**”, pierwsze dostępne dla publiczności polskie muzeum narodowe w specjalnie wzniesionej budowli – **Świątyni Sybilli**. Na jej frontonie widnieje znamienne hasło: „**PRZESZŁOŚĆ – PRZYSZŁOŚCI**”, określające cel i misję tego obiektu. W ten sposób Czartoryska chciała ocalić symbole, pamiątki i dokumenty upadłego państwa i dać nadzieję na odzyskanie niepodległości, przekazując je następnym pokoleniom.

Nadrzędną przesłanką kolekcjonerstwa jest zabezpieczenie przed zniszczeniem i zapomnieniem przedmiotów kultury materialnej, a także przejawów kultury duchowej, w tym związanych z obyczajowością. Nasze Towarzystwo w zakresie kolekcjonerstwa ma duże tradycje. Sięgają one **Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego**, które w swoim statucie przewidziało badanie i ochronę etnograficznych właściwości regionów. Szczególnie wyróżnił się **Tytus Chałubiński** – badacz Tatr, lekarz i botanik, który swoje zbiory mineralogiczne i botaniczne przekazał do Muzeum Tatrzańskiego. Doniosłą rolę w zakresie gromadzenia, popularyzacji i ochrony zbiorów odegrało **Polskie Towarzystwo Krajoznawcze**. W statucie nadano kolekcjonerstwu ważne znaczenie: *gromadzenie zbiorów naukowych dotyczących ziem polskich...*, było to wyrazem idei zachowania pamiątek narodowych, poznawania kraju i krzewienia uczuć patriotycznych. W pracach tych uczestniczyli wybitni naukowcy i działacze PTK, m.in. pierwszy prezes Towarzystwa **Zygmunt Gloger**, **Kazimierz Kulwiec**, **Mikołaj Wisznicki**. Aktywnym popularyzatorem był także **Aleksander Janowski**. Wynikiem tych działań było utworzenie w 1908 r. muzeum w budynku Zarządu PTK przy Al. Jerozolimskich w Warszawie. Przekazano tam liczne eksponaty, wśród ofiarodawców był m.in. Zygmunt Gloger. Zbiory gromadzono także w oddziałach terenowych Towarzystwa. Zamiłowania kolekcjonerskie wielu krajoznawców spowodowały, że duża liczba cennych przedmiotów trafiła do izb pamięci i muzeów. Przyczyniło się to do poszerzenia wiedzy o kraju, ludziach i obyczajach. Wiele zaś dawnych fotografii, pocztówek i rysunków stało się źródłem poznania obiektów i krajobrazów, które uległy znacznym przemianom lub zniszczeniu. Duże zasługi w tworzeniu zbiorów krajoznawczych odniósł **Leopold Węgrzynowicz** kierujący kołami krajoznawczymi młodzieży szkolnej PTK. Dzięki jego inicjatywom w okresie międzywojennym zgromadzono wiele przedmiotów i opracowywano je według wskazówek wybitnych naukowców. Efektem tych działań było wzbogacenie w eksponaty wielu muzeów regionalnych oraz Muzeum Etnografii w Krakowie, a w 1936 r. otwarto tam Muzeum Szkolne.

Jak widać, efekty kolekcjonerstwa krajoznawczego są wymierne. Dzięki zamiłowaniom członków Towarzystwa zostało odnalezionych i oddanych w służbę społeczną wiele cennych przedmiotów. Utworzono liczne muzea i izby regionalne. W latach międzywojennych powstało 28 placówek muzealnych, po II wojnie światowej dalsze 20, z czego 32 placówki przekazano państwowej służbie muzealnej lub władzom samorządowym. Ponadto kolekcjonerzy spod znaku PTTK przekazywali swoje zbiory muzeom regionalnym jako darowizny, powiększając ekspozycje m.in. Muzeum Narodowego, Muzeum Sztuki Medalierskiej we Wrocławiu, Muzeum Sportu i Turystyki w Łodzi, Muzeum Blachy Turystycznej w Poznaniu, Bibliotece Narodowej i Polskiej Akademii Nauk. Tak spełniło się

nadrzędne przesłanie kolekcjonerstwa: zabezpieczenie przed zniszczeniem i zapomnieniem przedmiotów kultury materialnej.

Deklaracje programowe kolekcjonerstwa w PTTK opierają się na tych właśnie założeniach, traktując je specjalistycznie – jako kolekcjonerstwo krajoznawcze. Polega ono na takim gromadzeniu zbiorów, aby umożliwiły one poznanie regionu, kraju, ludzi, obyczajów oraz służyły upowszechnieniu wiedzy o nich społeczeństwu. Kolekcjonerstwo ma więc znaczenie kulturotwórcze i społecznie użyteczne i w tym zakresie odnosi się do programowej działalności PTTK. Współcześnie odpowiednią deklarację ideową i programową w tym temacie określiła Komisja Krajoznawcza ZG PTTK. Dała temu wyraz w obradach III Kongresu Krajoznawstwa Polskiego w Płocku w 1980 r. Przyjęto wtedy do „Krajoznawczego Programu Turystyki” zapis: (...) *należy rozwijać i popierać zbieractwo i kolekcjonerstwo krajoznawcze związane z turystyką...* W pracach tych aktywnie uczestniczyli prekursorzy i inicjatorzy kolekcjonerstwa krajoznawczego **Adam Czarnowski** i **Tadeusz Sobieszek**. Podobnie w 1985 r. Plenum ZG PTTK, poświęcone udziałowi Towarzystwa w kulturze narodowej, podjęło m.in. uchwałę o popieraniu kolekcjonerstwa krajoznawczego. Zostało też ono uznane przez IV Kongres Krajoznawstwa Polskiego w Opolu w 1990 r.

Zadania w tym zakresie w Towarzystwie realizuje **Podkomisja Kolekcjonerstwa Krajoznawczego** przy **KK ZG PTTK**. Krótko wspomnę o jej genezie. W okresie powojennym nastąpił duży rozwój turystyki, co sprzyjało kolekcjonerstwu, turyści podczas wędrówek zdobywają bowiem pamiątki, które są zaczątkiem ich zbiorów. Z czasem zachodzi potrzeba ich eksponowania. W Warszawie Klub „Czata 62” przy O. Śródmieście z **Witoldem Nastiuszonkiem** na czele zainicjował organizowanie giełd i wystaw kolekcjonerskich. Innym ośrodkiem, który wniósł duży wkład w upowszechnienie kolekcjonerstwa krajoznawczego, było **Opole**. Prężnym ośrodkiem Towarzystwa stał się **Kraków**, który w dużej mierze przyczynił się do krzewienia idei kolekcjonerstwa krajoznawczego. **Lublin** natomiast organizował z dużym powodzeniem cykliczne wystawy trofeów turystycznych, sesje kolekcjonerskie oraz wniósł duży wkład w upowszechnianiu artystycznej roli znaczka turystycznego.

Jak widać, pojawiło się wiele inicjatyw, które skłoniły KK ZG PTTK do przeprowadzenia ankiety sondażowej w sprawie zainteresowań kolekcjonerskich członków Towarzystwa. W jej wyniku opracowano pod kierunkiem **Tadeusza Sobieszka** wykaz kolekcjonerów-krajoznawców z określeniem rodzaju ich zbiorów. Zainteresowanie kolekcjonerstwem wśród krajoznawców było duże, zaszła więc potrzeba utworzenia systemu wyróżnień dla krajoznawców. W 1974 r. wprowadzono więc **Plakietkę Zbiorów Krajoznawczych i Ekslibris Krajoznawcy Bibliofila**. Projekty regulaminów tych wyróżnień przygotowali **Adam Czarnowski**, **Tadeusz Sobieszek**, **Bronisław Cmela** i **Nikodem Błazewski**. W latach 1975-78 przyznano 599 takich wyróżnień. Przed III Kongresem Krajoznawstwa Polskiego na sesji kolekcjonerskiej w Lublinie w 1978 r. dokonano pierwszego w PTTK podsumowania i oceny stanu kolekcjonerstwa krajoznawczego w Polsce. Tam też zrodziła się myśl utworzenia przy KK ZG PTTK specjalistycznego organu, który zajmowałby się rozwojem i koordynacją działań kolekcjonerskich. Efektem tej dyskusji było powołanie na IX CZAK-u w Czarnowie w 1979 r. **Podkomisji Kolekcjonerstwa Krajoznawczego** z siedzibą w **Lublinie**. Mimo wielu osiągnięć, a szczególnie w zakresie organizacji, wraz z likwidacją wojewódzkich struktur PTTK w 1991 r. Podkomisja przestała istnieć. Jako kontynuatora działań powołano **Zespół ds. Kolekcjonerstwa**. Powstał też **Korespondencyjny Klub Kolekcjonerów-Krajoznawców „4K”** z siedzibą w **Opolu**, którego inicjatorem i prezesem jest **Henryk Paciej**. Wspomnieć jeszcze należy, że od 1988 r. obowiązuje nowy system odznak kolekcjonerskich, opracowany przez **Adama Czarnowskiego** i **Wojciecha Lipniackiego**, który później został znowelizowany. **Podkomisja Kolekcjonerstwa Krajoznawczego** została reaktywowana 12.02.2011 r. i pracuje w składzie: **Wojciech Kowalski**, **Maciej Maśliński**, **Janusz Motyka**, **Henryk Paciej** i **Mieczysław Tokarski**.

A problemy kolekcjonerstwa? W ostatnim okresie kolekcjonerstwo jest mniej widoczne, stało się kolekcjonerstwem gabinetowym, zbiory przechowywane są w szufladach. A przecież podstawową zasadą kolekcjonerstwa krajoznawczego jest jego upowszechnianie na pokazach i wystawach. Na imprezach krajoznawczych, a także podczas CZAK-ów bardzo rzadko można zobaczyć prezentacje zbiorów. Powodem tego jest problem zabezpieczenia kolekcji przez organizatorów, a kolekcjonerzy napotykać też trudności w transportowaniu zbiorów. Innym bardzo ważnym problemem jest brak zainteresowań kolekcjonerskich wśród młodego pokolenia. A więc, jak trafić, z czym wyjść do młodzieży? To jest właśnie wyzwanie dla kolekcjonerów. Myślę, że w rozwiązanie tych problemów włączy się społeczność naszego Towarzystwa, a krajoznawcy w szczególności.

Wojciech Kowalski

Jerzy Organiściak – przewodnik, krajoznawca oraz samorządowiec z miasta Krzywej Wieży i Frankensteina

Oj! Trudne przede mną zadanie. Jerzy Organiściak jest jedną z takich osób, które w krajoznawstwie i turystyce osiągnęły bardzo wiele, dodajmy jeszcze do tego działalność w dziedzinie kultury, na polu opieki nad zabytkami oraz samorządową. Jednak po kolei. Styczeń 2015 r. – prasa donosi: Jerzy Organiściak Przewodniczącym Rady Powiatu Ząbkowickiego. Gratulacje!

– **Dziękuję.**

Jak ten wybór ma się do działalności, o której mowa we wstępie. Pomaga, przeszkadza?

– **Myślę, że pomaga. Jako radny powiatowy, a jestem nim od 1999 r., działałem i ciągle działam na rzecz rozwoju turystyki, promocji i kultury w Powiecie Ząbkowickim, inicjując, organizując i uczestnicząc w różnych akcjach w tym obszarze. Moja aktywność powoduje, że wszystkie władze samorządowe w Powiecie Ząbkowickim liczą się ze zdaniem „ludzi turystyki”, a to pozwala prowadzić dość dobrą działalność w Oddziale PTTK i innych organizacjach społecznych krzewiących kulturę i turystykę.**

Ząbkowice Śląskie. Przewodnicy jadąc z grupami dużo mówią o tym mieście, ale za często do niego nie „wjeżdżają”. Czyż to nie błąd?

– **Błąd, a jakże!! Ząbkowice Śląskie stają się powoli miastem turystyki krajoznawczej i są coraz bardziej rozpoznawalne. Dość powiedzieć, że w ubiegłym roku odwiedziło miasto blisko 20.000 turystów. To są tylko ci, którzy weszli na Krzywą Wieżę czy odwiedzili naszą Izbę Pamiątek Regionalnych. Miasto lansuje się jako „Miasto Krzywej Wieży i Frankensteina” i widać, że jest to skuteczny chwyt marketingowy. Problemem Ząbkowic jest jednak nadal to, że ludzie tutaj przyjeżdżają na parę godzin i jadą dalej, najczęściej na Ziemię Kłodzką. Za mało jest tutaj do zwiedzania na dłuższy czas, stąd trzeba uruchamiać nowe usługi i przygotowywać nowe atrakcje!**

Jakie atrakcje oprócz bardzo znanej Krzywej Wieży mogą jeszcze w mieście zaskoczyć. W ostatnich latach co rusz coś nowego dla turystów uruchomiano?

– **To prawda. Władze Ząbkowic starają się tak działać, aby co roku turyści i przyjeżdżający mieli szerszą ofertę zwiedzania miasta. Na przykład, dwa lata temu wykonano Miejską Trasę Turystyczną, gdzie turysta może zwiedzać znacznie więcej obiektów zabytkowych niż dotychczas. W Izbie Pamiątek Regionalnych utworzono nową ekspozycję multimedialną – „Szlak Frankensteina”. Od trzech lat prowadzi się prace rewitalizacyjne na ząbkowickim zamku, który już można zwiedzać.**

Co nowego w 2015 r. zaoferuje przybyłym powiat ząbkowicki?



– Jeśli chodzi o nowości, będą to nowe ekspozycje i zrewitalizowane obiekty na Twierdzy Srebrnogórskiej, gdzie bardzo dużo się dzieje. Mamy też chyba najpopularniejszy dzisiaj produkt turystyczny na Dolnym Śląsku – Spływy pontonowe po Nysie Kłodzkiej w Bardzie. Wiem, że szykują się nowe trasy spływów. Przewidywana jest nowa aranżacja Muzeum Sakralnego w Bardzie. Ja i grupa miłośników turystyki rowerowej walczymy o stworzenie ścieżki rowerowej trasą dawnej Ząbkowickiej Kolejki Powiatowej pomiędzy Srebrną Górą a Henrykowem. Ale to przyszłość.

Macierzysty Oddział PTTK należy do bardzo aktywnych. Wystarczy zaglądnąć na programy. Jest w nich dla każdego coś atrakcyjnego. Wśród organizatorów bardzo często widnieje Twoje nazwisko.

– Cóż, to moja pasja od wielu, wielu lat! Jestem członkiem Zarządu Oddziału od 1981 r., aktualnie także prezesem Koła Przewodników i prezesem Klubu Regionalnego Ziemi Ząbkowickiej. Pomagają mi oczywiście koledzy. Niestety, tak jak wszędzie, młodych działaczy brak!!

W okolicy wspaniałe tereny do wędrówek. Twoja ulubiona trasa?

– Trudna sprawa. Lubię chodzić po Górach Bardzkich, szczególnie mało uczęszczanym Grzbieciem Zachodnim pomiędzy Srebrną Górą i Bardem. Dość często penetruję bardzo ciekawy geologicznie Masyw Brzeźnicy. Tutaj uwaga: w październiku organizujemy wspólnie ze Stowarzyszeniem Geopark Wzgórz Niemczańsko-Strzelińskich II Rajd Geoturystyczny po Masywie Brzeźnicy, gdzie pokażemy najciekawsze miejsca tego typu.

Ząbkowice Śl. bardzo mocno zaangażowane są w organizacji Polsko-Czeskich Dni Kultury Chrześcijańskiej. Odnosi się jednak wrażenie, że są one jakby za mało reklamowane.

– Miasto organizuje różne akcje, natomiast nasz Oddział PTTK angażuje się w polsko-czeską współpracę turystyczną. Co roku organizujemy kilka wspólnych imprez turystycznych z Czeskim Klubem Turystów w Červenym Kostelcu i tak jest od 20 lat!!! Rzeczywiście, może są one zbyt mało reklamowane, postaramy się to zmienić. W tym roku, jak już przy tym jesteśmy, robimy wspólną imprezę „Sudety mało znane” w dniach 21-23. sierpnia. Będziemy wędrować po Jastrzębich Horach, Rychorach i La-sockim Grzbiecie. I może z innej beczki: robimy razem z Ukraińcami imprezę krajoznawczą w okolicy Lwowa pod nazwą „Kresy – ocalić od zapomnienia” w dniach 1-8. sierpnia. Wszystkie informacje będą niedługo na mojej stronie oraz stronie Oddziału: www.zabkowiceslaskie.pttk.pl.

Bardzo wiele artykułów, publikacji i wydawnictw jest Twojego autorstwa. Ciągłe coś tworzysz. Może coś na ten temat bliżej?

– Tworzę może teraz nie za dużo, bo brak czasu. Ale w ostatnich latach napisałem krótki przewodnik „Po szlaku cysterskim na Ziemi Ząbkowickiej”, „Przewodnik po Miejskiej Trasie Turystycznej w Ząbkowicach Śląskich oraz z Bartkiem Grygorcewiczem przewodnik „Ziemia Ząbkowicka”. Zebrałoby się tego sporo, a zaczęło się jeszcze w 1984 r., kiedy napisałem pierwszy artykuł o kopalni w Szklarach, opublikowany w „Informatorze Krajoznawczym Zarządu Wojewódzkiego PTTK we Wrocławiu”.

Na koniec pytanie nieco podchwytliwe. Bo komu jak komu najlepiej je zadać. Stolicą powiatu ząbkowickiego są Ząbkowice Śląskie. W tymże w niedalekiej odległości znajduje się historyczne Bar-do. Do niedawna też Śląskie. Teraz już nie. Dlaczego?



– Kwestia dodawania przymiotnika „Śląskie” wzięła się stąd, że istniały co najmniej dwie miejscowości o takich samych nazwach, stąd dla rozróżnienia dodano „Śląskie”. Jest to chyba wzór niemiecki. O ile wiem, nie było drugiej nazwy „Bardo”, więc nie było uzasadnienia dla przymiotnika „Śląskie”. I dzisiaj, chyba od lat 80 XX w. funkcjonuje nazwa Bardo. Pozostała jednak nazwa stacji kolejowej „Bardo Śląskie” i Nadleśnictwa. Podobna sytuacja jest zresztą z Ząbkowicami Śląskimi. Tutaj, do 1977 r. była miejscowość Ząbkowice koło Będzina, więc naszym dla odróżnienia nadano przymiotnik „Śląskie”. Od 1977 r. nie ma już Ząbkowic jako samodzielnego miasta, bowiem zostało włączone w granice Dąbrowy Górniczej, stąd należałoby z nazwy Ząbkowice wykreślić „Śląskie”. Tak ja uważam!!

Dziękuję za bardzo interesujący wywiad.

Mój rozmówca jest m.in. przewodnikiem turystycznym górskim (Sudety) i instruktorem w tej dziedzinie, a także egzaminatorem na kursach przewodnickich. Jest „Zasłużonym Przewodnikiem PTTK”. Pilotuje i organizuje wycieczki nie tylko krajowe. Jest Instruktorem Krajoznawstwa Polski. Posiada m.in. odznaczenia turystyczne, państwowe i samorządowe. Proponuję odwiedzić jego stronę: www.jorganisciak.pl.

Wojciech Radliński

Od Redakcji: Nazwa Bardo obowiązuje (!) co najmniej od lat 70., natomiast pokutował i pokutuje potocznie, a niekiedy w oficjalnych materiałach, nadal dodatek „Śląskie”, przenoszony na miejscowość z określenia stacji PKP przez kolejarzy.

Wędrują „Na Szlaku” wiecznym

30. rocznica zgonu Jerzego Ziętka (1901-1985) – działacza społeczno-gospodarczego, generała brygady, posła na Sejm (1947-1985), wieloletniego wojewody i przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach, współorganizatora rozwoju Górnego Śląska, inicjatora i organizatora budowy parków kultury i wypoczynku w Chorzowie, w Gliwicach, w Dąbrowie Górniczej, zespołów sanatoryjnych i ośrodków wczasowych w Rabce, w Wiśle, w Ustroniu i w Jaszowcu; czynnie popierającego działalność PTTK, odznaczonego m.in. Orderem Budowniczych Polski Ludowej i Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski; Członka Honorowego PTTK (od 1968 r.).

40. rocznica zgonu Władysława Jacewicza (1901-1975) – inżyniera, od 1953 r. działacza PTTK w Gdańsku, organizatora wielu imprez turystycznych, w latach 1956-1959 członka Zarządu, wiceprezesa i prezesa Oddziału PTTK „Trójmiasto” w Sopocie, w latach 1959-1961 prezesa Zarządu Okręgu PTTK w Gdańsku; odznaczonego Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

100. rocznica zgonu Stanisława Witkiewicza (1851-1915) – malarza, literata i krytyka malarskiego, związanego z Zakopanem i Tatrami, autora utworów literackich o Tatrach, m.in. *Na przełęczy*, i twórcy stylu zakopiańskiego w budownictwie; Członka Honorowego Towarzystwa Tatrzańskiego (od 1913 r.).

110. rocznica zgonu Walerego Eliasza-Radzikowskiego (1841-1905) – malarza (m.in. widoków tatrzańskich i typów góralskich), autora przewodników: *Ilustrowanego przewodnika do Tatr, Pienin i Szczawnicy*, wydanego sześciokrotnie (1870-1900), *Szkiców z podróży w Tatry* (1874 r.) i wielu artykułów o tematyce tatrzańskiej, popularyzatora Tatr i Zakopanego, jednego z założycieli Towarzystwa Tatrzańskiego, organizatora przewodnictwa tatrzańskiego, wytyczania i budowy ścieżek turystycznych, inicjatora straży ochrony przyrody, jednego z pierwszych fotografów tatrzańskich.

Oprac. Andrzej Rumiński

Objawienie Kocora

Do tej pory nie omawialiśmy, ani tym bardziej rekomendowaliśmy, książki o charakterze beletrystycznym, powieściowej. Precedens ten ma wszakże swoje głębokie uzasadnienie. Jest to bowiem opowieść o życiu i twórczości Korli Awgusta Kocora (3.12.1822 Zahor – 19.05.1904 Ketlicy) – skromnego nauczyciela wiejskiego, ale wspaniałego, największego w dziejach Łużyc kompozytora. On to podniósł pozostającą dotąd w łużyckim ludzie muzykę do rangi ogólnonarodowej, więcej – do rangi europejskiej. To taki łużycki Moniuszko – szkoda, że niewiele znany i grywany w Polsce. Wystarczy posłuchać raz „Nalěčo” – jeden z najpiękniejszych jego utworów, by zakochać się w łużyckiej pieśni i melodii.

Autorka, urodzona w Bogatyni i czująca się zakorzeniona w łużyckiej ziemi i kulturze – wszak miasto to leży na polskich, wschodnich Łużycach, od lat wplata wątki łużycko-narodowościowe w tok swoich powieści (ta jest już ósma). Tym razem podjęła się wielkiego wyzwania i trudu: postanowiła odtworzyć życie Kocora w jego codziennym, prywatnym i towarzyskim życiu (istotną rolę odgrywa tu ks. Handrij Zejler, przyjaciel i autor tekstów, do których muzykę komponował bohater książki). Rzecz jasna, nie jest to naukowa biografia, ale literacka jej wersja. Moim zdaniem – udana. Kocora widzi się bardzo wyraźnie, plastycznie

(być może wpływ ma na to przekonujący opis wynikający z faktu, że Barań jest także malarką), jako człowieka, który niemal z nizin społecznych dzięki pracy, determinacji i konsekwencji dochodzi do pozycji narodowego kompozytora. Wydaje się jedynie, że autorka obciążyla niesłusznie niechęcią wojska napoleońskie podczas ich pobytu i kampanii w Saksonii, do której należały Łużyce Górne w tamtych czasach. Przecież Saksonia była sojusznikiem Francji, a okrucieństw i wojennych rozbojów dokonywały wojska rosyjskie w 1813 r., nacierające poprzez Śląsk w kierunku zachodnim.

Książkę czyta się łatwo, szybko wciąga otwierając oczy (tu: Polaka) na niezwykle ciężkie położenie naszych najbliższych słowiańskich braci – Łużyczan zza miedzy, także w dzisiejszej sytuacji. Wyšla ona w 110-lecie śmierci kompozytora, jest więc swoistym hołdem złożonym jego zasługom. Stanowi zarazem niezwykle istotny wkład do relacji polsko – łużyckich (w aspekcie narodowościowym), za co autorce należy się wielka wdzięczność. Może wreszcie zainteresuje się nią jakieś znaczniejsze wydawnictwo o krajowym znaczeniu, bo, jak dotąd, sama pisarka boryka się z lokalnymi, niszowymi edytorami. A zasługuje na więcej – świadczy o tym fakt, że od dawna jest członkiem niemieckiego Pen Clubu.

Książka od strony edytorskiej opublikowana została bardzo starannie: ładny papier, twarda lakierowana okładka z intrygującą ilustracją samej autorki i informacją o niej na ostatniej stronie.



Brakuje jednak porządnego opisu adresu wydawniczego zgodnie z zasadami edytorskimi. Że zawartość nie jest czystą fikcją, świadczy końcowy zestaw fotografii Kocora i autorki z czasu pracy nad powieścią. Dostarczając satysfakcji emocjonalnej podczas jej czytania, przekazuje ona wielką dawkę wiedzy krajoznawczej. Przecież chodzi o tereny tuż za naszą zachodnią granicą! Gorąco więc zachęcam do sięgnięcia po „Objawienie”.

Halina Barań: *Objawienie*. [B. m. wyd.] 2015, 207 s. (Druk i oprawa: Agencja Wydawnicza ARGIS s.c.). ISBN 978-83-64358-63-0.

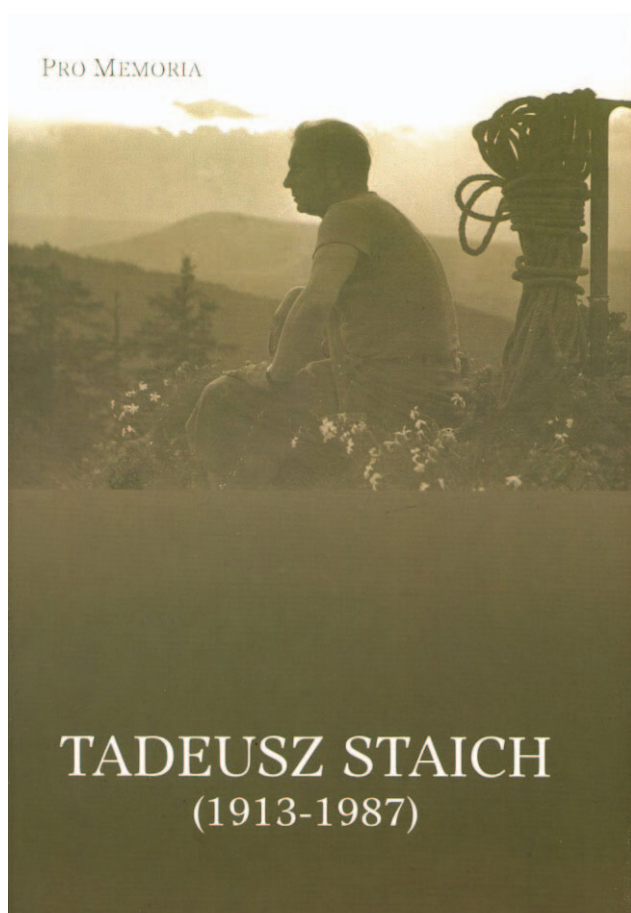
Krzysztof R. Mazurski

Przewodnik przewodników

W Zakopanem zamieszkał dopiero w 1947 r., a przewodnikiem tatrzańskim i podhalańskim został w 1948 r. Zanim stał się znawcą gór, góralskości, gwary podhalańskiej, historii tej krainy, był typowym ceprem, rodem z nizin i „ptokiem”. O sobie napisał: *Mój dom rodzinny stał blisko trzem rzekom: Wiśle, Sole i Przemszy czyli w Bobrku, opodal Chrzanowa. Z rodzinnych stron zapamiętał obraz: Gdy weszło się na szczyt wieży kościelnej, albo w czasie wycieczki na górę zwana Bożą Męką, widać było dwie cudowności: najpiękniejsze miasto świata, Kraków i najpiękniejsze góry świata, Tatry.*

Życie Tadeusza Staicha (1913-1987) wypełniał szacunek dla słowa mówionego i pisanego. Jak niewiele mu współczesnych i następców zasłużył się przybranej „małej tatrzańskiej ojczyźnie”. Ta jego góralskość budziła zazdrość i do dziś mało kto potrafi mu dorównać. Z wielkiego umiłowania i znawstwa mowy i pisarstwa podhalańskiego doprowadził do powstania Sekcji Pisarzy Gwarowych i przewodniczył Klubowi Literackiemu przy Związku Literatów Polskich w Zakopanem. Tysiące Polaków i gości ze świata oswajał z Podhalem pięknymi opowieściami prowadząc wycieczki w Tatry, Pieniny, na Spisz i Orawę. Pokochał górską krainę, choć nie był góraliem najpewniej dlatego, że ją poznał, jak to robili najwybitniejsi krajoznawcy. Dołączył do nich mową, pisaniem, działalnością społeczną, zwłaszcza ogromnym dorobkiem w szkoleniu przewodników. Jest bohaterem opasłej książki, bowiem 408 stron tomu „Pro Memoria” wypełniają wspomnienia 27 autorów, jego współpracowników, przyjaciół, analityków twórczości. Potwierdzają, że nie kochał gór na ślepo czy na wyrost, bez obłudnych kadzi-deł. Wędrował nie tylko „po dziedzinie” i pokazywał, ale najbardziej skutecznie używał słów, opisywał nimi to, co było i jest piękne, ważne, osobliwe, unikatowe, godne zapamiętania. Bohater tych wspomnień mawiał, że *życie rzuciło na Podhale*, przez kilkadziesiąt pracowitych lat stał się najprawdziwszym „człowiekiem gór”, prowadził do nich i przez ich bezdroża i utarte ścieżki. Był autorem zapomnianego podręcznika dla przewodników *Z Zakopanego do Pienin. Przewodnicki materiał szkoleniowy*. Uczył nie tylko, jak pokazać góry, ale też za pomocą pięknego mówienia wychowywał w górach, przez góry i dla gór.

Nie tylko dosłownie krok po kroku, zdanie po zdaniu – przewodził na szlakach. Był też, o czym dowiadujemy się z tego tomu wspomnień – poetą, prozaikiem, aktorem, reżyserem, scenarzystą, spikerem



radiowym, żołnierzem, piłkarzem, dziennikarzem, wydawcą, nauczycielem, kustoszem, muzealnikiem, działaczem turystycznym, redaktorem „Wierchów”, działaczem PTT, PTTK, Związku Podhalań. Zapisał się trwale jako współtwórca Orawskiego Parku Etnograficznego w Zubrzycy Górnej, przewodnik, nauczyciel, wychowawca, krajoznawca, domagał się powrotu pasterstwa w Tatrach. To autor tomików poezji własnej i autorów-górali, obrońcą kultury materialnej i duchowej Podhala. W 2003 r. Komisja Turystyki Górskiej ZG PTTK uczciła go sympozjum *Tadeusz Staich - człowiek gór, służąca słowa*. Do jego najważniejszych osiągnięć pisarskich należy tom *Drogami skalnej ziemi* – dowód jego ogromnej wiedzy o górach i góralszczyźnie, a zarazem swoisty hołd górcom i ludziom tej krainy.

Jego opinia o turystyce jest aktualna także dziś, gdy na wielu szlakach brakuje najprostszych zasad kultury, umiaru, tłumy na wielu szlakach degradują turystykę, o jej wartości krajoznawczej nie ma co wspominać. Podobne poglądy miał ponad sto lat wcześniej Jan Gwalbert Pawlikowski wyrażone w manifestie „Kultura a Natura” z 1913 r. Staich twierdził: *Czy jednak udostępnianie [Tatr] ma być ułatwianiem dostępu, dokonany znowu kosztem parku? Czy turystyka polega na omijaniu naturalnych trudności wycieczkowania, na wygodnym i szybkim przenoszeniu ludzi w piękno górskich ostępów? Jeszcze jedno pytanie: czy łatwo osiągnięte piękno stanie się pełną użytecznością, pełnym doświadczeniem, osobistą wartością?*

Warto wspomnieć, że, choć zakochany w górach, wielką sympatią darzył Kaszubów (bo to przecież górale, ale nie mieli za co kupić „sifkarty” na statek do Ameryki!). Kochał góry nie tylko dlatego, że były wielkie i piękne, ale dlatego, że trzeba szanować to, co stworzyła tam natura, a w nich i pod górami ludzie. Dla Staicha kultura dla górskiej krainy był źródłem krajoznawstwa jako wartości osobistej. Jak wielu przewodników tatrzańskich przed nim, uznanych za klasyków tego rzemiosła, a nawet zawodu, należy do klasyków. Bo przewodnik ma *ukazywać i przekonywać*, i robić to z sercem i rozumnie, najlepiej jak może, bo patałach w tej dziedzinie to szkodnik.

Wielu uznało Tadeusza Staicha za *kapłana słowa*, wypowiedzanego na szlakach turystycznych, podczas spotkań z kandydatami na turystów i przewodników, w opisach przyrody górskiej, tradycji podhalańskich. W wierszu *Słowo o Orkanie – Syn* napisał: *W książkach przysiadły arcydzieła mowy polskiej wyrosłej z gleby Czarnolasu... W książkach osiadła myśl przewodnia poczęta z miłości ziemi tradycja wydzwignięta okrzesaną dłonią brązową wojująca o prawdę w ślebotach i o ślebotę w prawdzie....* Ten człowiek z nizin (!!!), w 1976 r. był autorem *Deklaracji ideowej Związku Podhalań*. Jego znakomitym poprzednikiem był Władysław Orkan w 1922 r., autor manifestu *Wskazania dla synów Podhala*.

Ale kłaniając się górcom, naturze, góralom, nie dość nisko czapkował władzom Zakopanego. Władze jej megalomańskiej „stolicy Podhala” nie zdołały uznać dorobku i zasług Staicha, nie był jego stałym mieszkańcem. Pod koniec życia wrócił do Krakowa i żył w sławnym Domu Literatów przy ul. Krupniczej. Życie poświęcił górcom, a w istocie polskiej kulturze.

Tadeusz Staich (1913-1987) – studia, impresje, wspomnienia, inedita. Red. W. A. Wójcik. Kraków: Centralny Ośrodek Turystyki Górskiej PTTK 2014, 408 s.

Tomasz Kowalik

Monografia Dworu Czarne

Ile już zniknęło, ile wciąż znika (choćby na jesieni ubiegłego roku) cennych obiektów w Polsce południowo-zachodniej, głównie w woj. dolnośląskim! Część uległa zniszczeniu wskutek działań wojennych w 1945 r., część wskutek dewastacji przez żołnierzy radzieckich i naszych własnych szabrowników czy poszukiwaczy „skarbów”, część wskutek bezmyślnej ruiny PGR-ów po 1989 r., co już nie można zwalić ani na Armię Czerwoną, ani na „zemstę” na Niemcach. Nieliczne zostały uratowane w ostatniej chwili, jak choćby w Krobielowicach czy w rejonie Jeleniej Góry. A ile jeszcze czeka na podobny los: Goszcz, Skąpa, Piotrkowice....

Najczęściej ratunek przychodzi ze strony inwestorów z branży turystyczno-hotelowej czy silnych fundacji, jak w Krzyżowej. Niekiedy są indywidualne wysiłki, jak w Pakoszowie czy Ślężie. Wspomnianego przykładu dostarcza renesansowy dwór Czarne, położony w dawnej wsi Czarne, obecnie na

południowych peryferiach Jeleniej Góry. Zniszczony wskutek rabunkowej wręcz gospodarki tamtejszego PGR, uratowany został wysiłkiem znanego i cenionego w regionie architekta Jacka Jakubca. Doprowadził on do powstania Fundacji Kultury Ekologicznej, która otrzymała obiekt od władz Jeleniej Góry. W ostatnich latach nastąpiło wrogie wręcz go przejęcie przez inną fundację, co jest przedmiotem postępowania prokuratorskiego. Przy pracach remontowych i adaptacyjnych współpracowało wiele osób, w tym szczególnie blisko związana z FKE i silnie zaangażowana w jej działalność Rada Nadzorcza (szkoda, że nawet nie wymieniono jej nazwy w przedstawianej pracy). Dwór został uratowany. O jego klasie świadczy m.in. wysunięta niedawno sugestia, że być może XVI-wieczną formę i projekt pięknego portalu (niestety, silnie uszkodzonego w czasach PGR) zawdzięcza on znanemu Komaskowi Franciszkowi Parrowi, z rodziny znanej z kilku innych zamkowych realizacji w tej części Śląska, tu najbliższych w Bolkowie i Chojnowie.

To wszystko, a właściwie to, co się dotąd udało ustalić – w tym dowody średniowiecznego założenia, oraz powojenne losy dworu opisał Jakubiec w pięknie wydanej książce formatu A4. Można wręcz powiedzieć, że jest edycja bibliofilska, tak starannie i z tak dużym smakiem wydana. Zawiera ona liczne rysunki, w tym rekonstrukcyjne, i fotografie. Na podkreślenie zasługuje swobodny tok narracji, acz według reguł naukowej prezentacji, przy tym lekki i jasny styl, dzięki któremu nawet laik spoza kręgu historyczno-architektonicznego czyta owo dzieło ze zrozumieniem i, co więcej, dużym zainteresowaniem. To wspaniała dokumentacja nie tylko rozwoju architektonicznego tak unikatowej budowli na Śląsku, ba – w całej Polsce!, ale historia poświęcenia się jednego człowieka ratowaniu obiektu kultury całego narodu bez pomocy Państwa, niestety.

Książka zawiera na końcu syntetyczne kalendarium i spis publikacji. Szkoda, że zabrakło wśród nich tekstów o dworze, które ukazały się i w naszym magazynie. Nazbierało się też trochę literówek, co jednak nie psuje znakomitego ogólnie wrażenia. Pogratulować Autorowi i Wydawnictwu!

Jacek Jakubiec: *Dwór Czarne, czyli monografia według Jacka*. Jelenia Góra – Czarne: Wydawnictwo AD REM 2014, s. 216.



Dwór Czarne. Fot. wikipedia.pl

Krzysztof R. Mazurski

Sanktuarium Maryjne w Krasnobrodzie

Będąc na CZAK-u w Krasnobrodzie w sierpniu br. na pewno jego uczestnicy zwiedzą to sanktuarium. Niniejsze opracowanie formatu 16,5x24 cm zawiera na 32 stronach jego historię i 23 ryciny. Składają się na to rozdziały:

- Krasnobród osada
- Parafia
- Kościół
- Cudowny obraz
- Kaplice
- Kalwaria
- Inne obiekty
- Informacje duszpasterskie

Lublin: Wydawnictwo Kurii Biskupiej 1984.

Andrzej Rumiński



Sanktuarium Maryjne w Krasnobrodzie. Fot. wikipedia

NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.
Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki" przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Krzysztof R. Mazurski**

Sekretarz Redakcji: **Anna Zygm**

Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**

Zespół Redakcyjny: **Wojciech Radliński,**
Andrzej Rumiński

Webmaster: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: **Juliusz Wyślouch**



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adiacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931